ROCZNIK X. Sierpień-Wrzesień 1906. Tom III. - Nr. 8-9.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich.

* Turyn – Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ:

Do przyszłych wychowawców narodu.

O powołaniu wychowawczem.

I.



KAŻDY człowiek ma wrodzony pociąg i zdolność do jakiegoś zawodu: nazywamy to powołaniem. Powołanie, to droga życia, zakreślona ręką Opatrzności. Bezkarnie z niej zbaczać nie można. Kto ją porzuca a puszcza się na krzywe ścieżki swych zachcianek, ten kiedyś za swą lekkomyślność ciężko odpokutuje, uginając i łamiąc się pod ciężarem obowiązków, którym nie będzie mógł podołać.

Jeżeli powołanie jest warunkiem powodzenia w zawodzie literackim, na polu sztuki i w jakiemkolwiek zajęciu, to nierównie ważniejszą rolę odgrywa ono w życiu wychowawcy. Wychowanie jest umiejętnością i sztuką opartą na gruntownej znajomości natury ludzkiej i indywidualności dziecka. Ta znajomość psychologii na pozór tak prostej i pewnej a w rzeczywistości przedstawiającej tyle odmian, ile jednostek liczy natura ludzka, jest zadaniem zanadto uciążliwem i trudnem, aby ją owładnąć mogli ci, którzy wychowanie chcą uprawiać dla własnej przyjemności, dla kaprysu, po amatorsku.

Zawód wychowawczy nakłada przykre obowiązki i poświęcenia, które naj-

częściej nie bywają odpowiednio ani oceniane ani wynagradzane. Gorzkoby się zawiódł, ktoby na tej drodze szukał wygodnego życia. Aby swemu zadaniu podołać, nie może wychowawca kłaść granic swemu doskonaleniu się w naukach: zabójcze trudy, przykrości i poświęcenia mają wypełniać jego żmudne życie. Za to wszystko czeka go najczęściej czarna niewdzięczność. Na czem więc fundować się powinna jego wytrwałość w trudnym zawodzie? Czem zdoła zrównoważyć wszystkie krzyże, rozczarowania, gorzkie niesprawiedliwości i prześladowania? Zamiłowaniem i poważaniem zawodu. A miłość i cenienie sobie stanu jest następstwem powołania.

Urząd wychowawczy jest prawdziwem apostolstwem, kapłaństwem cywilnem. Ze zuchwałością graniczyłaby śmiałość tego człowieka, któryby się lekkomyślnie i samowolnie na to stanowisko posunął. Będzie on wychowawcą leniwym, zniechęconym, zrażonym. O jedno dbać będzie i na tem poprzestanie: aby uniknął nagany przełożonych. Przy wielkich zdolnościach może nawet zdoła czegoś nauczyć, ale nigdy nie będzie wychowywał. Jego wykłady będą niejasne i splątane, bez ładu, bez systematyczności, często nawet bez ducha chrześcijańskiego. Jakiś letarg ogarnia takiego wychowawcę i usypia go i przytłumia duchowy rozwój zdradzonych uczni.

Nadzieja wygodnego życia, poważania i zysku nie powinny popychać do stanu wychowawczego; tylko powołanie głęboko odczute uprawnia do tak ważnego kroku.

II.

1) Rozważ ciężkie obowiązki przyszłego stanu. Nie łudź się tem, co nęci i co podrzędnem jest i dodatkowem; nie myśl, że się otoczysz dziatwą dobrą, uległą, przywiązaną, wdzięczną; nie unoś się tem, że wychowawca zajmuje w społeczeństwie stanowisko zaszczytne i poważane. Pomyśl natomiast, jakie obowiązki zaciągniesz wobec młodzieży, rodziny, społeczeństwa i Boga; pomyśl, co wycierpisz, aby się swym powinnościom nie sprzeniewierzyć. Nie uwódź się, nie kieruj się płochą rzutkością, ale myśl i rozważaj! A dopiero kiedy po statecznym namyśle uczujesz, że stan ten głęboko kochasz i wysoko cenisz i że gotów jesteś wyrzec się wszelkiej przyjemności i że za trudy swoje od ludzi nagrody nie żądasz, a to z miłości, dla idyału i Boga — wtedy dopiero możesz sobie podchlebić, że masz pierwszy znak powołania wychowawczego.

2) Dalej zważ, czy natura nie odmówiła ci przymiotów niezbędnych we wzniosłym stanie. Wychowawca powinien mieć instynkt matki, którą zastępuje, a więc powinien się odznaczać zdolnością i łatwością wnikania w usposobienie i charakter dziecka, w stopień jego rozgarnięcia, w siły pamięci, w jego uczucia, myśli, potrzeby, skłonności i pragnienia. Z jednego ruchu, spojrzenia, słówka trzeba odgadnąć całe wnętrze, aby uprzedzać, kierować, poprawiać, prostować, utwierdzać, zachęcać. Kto dziecka nie rozumie, ten nie ma powołania wychowawczego.

Nie dość dziecko pojmować; trzeba się nadto zniżać do jego pojęć i tak

do nich zastosować słowa i giesty, iżby chłopiec nietylko naukę pojmował, ale iżby jej słuchał z przyjemnością i odnosił głębokie wrażenie. Pomiędzy uczniem a nauczycielem powinna istnieć ciągła i żywa wymiana myśli i uczuć. — Bez tego o powołaniu wychowawczem mowy być nie może.

Następnie rozważ, czy się twe serce rwie do młodzieży, czy bez niej żyć nie możesz. Miłość nieraz pokrywa brak wiedzy. Wiedza bez miłości tak cię uniesie, że się do dziatwy nie będziesz umiał zastosować; dozór wydawać ci się będzie stratą czasu, przysposobienie lekcyi nudą, szkoła meką nieznośną; wszędzie będziesz udręczonym dręczycielem uczni. — Kogo młodzież za serce nie chwyciła, ten powołania pedagogicznego mieć nie może.

3) Wreszcie jeśli chcesz uniknąć złudzenia miłości własnej, poradź się doświadczonego męża. Być może, że wielkość zadania i groźna mara przyszłych trudów zbytecznie cię przygniata i zniechęca. Może cię niepowodzenie pierwszej próby zupełnie zbiło z tropu. Posłuchaj mnie, poradź się a nie pożałujesz.

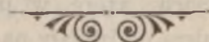
III.

1) W powołaniu trzeba wytrwać a zdolność pedagogiczną rozwijać nauką, lekturą, ciągłą obserwacyą i pożyciem z dziatwą. Oburza mnie widok niedorosłych wychowawców, którzy zdobywszy sobie kilka luźnych wiadomości teoretycznych, uważają się za ukończonych pedagogów i doskonalić się nie myślą.

Badaj ducha najwyższych wychowawców, których Bóg zesłał Kościołowi św. Pisma ich i przykłady wyświetlają wiele kwestyi, których nie rozwiązują nowoczesne teorye! Ale nadewszystko czytaj i rozważaj czyny i nauki Jezusa, bo wszystkie zasady pedagogiczne gruntują się na Jego słowach i przykładach.

Otaczaj się chętnie młodzieżą. Ona jest otwartą księgą, w której bystre oko czyta najwznioślejsze zasady pedagogii. Z miłości i obserwacyi zaczerpniesz wiele wiadomości, których nie znajdziesz w głośnych rozprawach naukowych.

2) Jak nauka, miłość i obserwacya wzbogacają doświadczenie wychowawcy, tak lenistwo, opieszałość i zbyteczne przywiązanie do wygód zabija jego powołanie. Jeden los spotka i wychowawcę obojętnego, którego wszystko obciąża, męczy i nudzi — i zarozumiałego, który nie przyjmuje żadnej uwagi — i dumnego, który sam sobie chce wystarczyć — i lekkomyślnego, który ze szkodą obowiązków goni za nowinkami i romanse pożera — i ambitnego, który wzdycha do wysokich stanowisk i grubych zysków — i każdego wychowawcę, który swój zawód uprawia jak rzemiosło, w szkole wysiedzieć nie może i z najmniejszej przeciwności robi *casus belli*. Tacy wychowawcy nie tylko się w swoim zawodzie nie wydoskonalą, ale zobojętnieją dla niego i pożałują, że sobie wybrali taką drogę życia, bo zawsze będą stąpać po cierniach, aż się zupełnie zniechęcą i odwrócą się od pługa, do którego byli przyłożyli rękę.



Od Misyonarza Polaka

List ks. St. Cynalewskiego, który po trzynastoletniej niebytności w ojczyźnie powraca pod rodzinną strzechę, do kółka swych wielbicieli i przyjaciół.

Turyn, dnia 23-go czerwca 1906.

Przewielebny ks. Manassero!

Jak z daty niniejszego listu Przewielebny ks. Dobrodziej wnosić może, znajduję się obecnie w Turynie, w miejscowości tylu przyjemnych wspomnień z czasów mojego trzyletniego pobytu w Valsalice przy grobie świątobliwego ks. Jana Bosko, w towarzystwie całego legionu współuczniów rodaków i pod ojcowską prawdziwie troską, wielce dla sprawy polskiej na obczyźnie zasłużonego, ks. Wiktora Grabelskiego.

Trzynaście lat dopływa, kiedy to ukończywszy nowicyat, na życzenie Przełożonych, poparte widokiem pewnych nadziei przez ks. Wiktora Grabelskiego, zdecydowałem się wstąpić w szeregi ochotników misyonarskich, wysłanych w roku 1893 do patagońskich i Pampowych stepów i puszczy w południowej Ameryce. Obecnie jestem z powrotem, by przed cudownym wizerunkiem N. M. Panny Wspomożenia Wiernych złożyć z głębi serca szczerą podziękę za tak widoczną nieraz opiekę, jakiej doznałem wśród licznych trudności życia misyonarskiego. Pospieszyłem również do uroczego Valsalice, by w cichej, poufnej i synowskiej rozmowie podzielić się wrażeniami z śp. naszym Ojcem, ks. Janem Bosko, na świętym Jego grobie. Czułem, że serce uderzało raźniej i silniej w mej piersi, i to z radości, że będę mógł spędzić kilka chwil przyjemnych w gronie legionu polskiej młodzieży, kształcącej się, jak za moich czasów, pod kierownictwem niezmordowanego ks. Grabelskiego. Niestety, z chwilą wstąpienia do zakładu, poinformowano mnie o zajściach, które w pierwszej chwili silnem wrażeniem oddziałały na mojego ducha. Miejsce, jak dawniej, tchnęło świętością pozagrobowej obecności Założyciela Zgromadzenia, ks. Jana Bosko, upiększone, podczas mojej nieobecności, nowym pięknym kościółkiem; lecz nie było ono ożywione już dźwiękami gwaru polskiej młodzieży, ani nie przedstawiało moim oczom owego tak zwykłego podczas rekreacyi



Projekt naszego kościółka (Toay-Pampa Central).

widoku skupienia się pewnej liczby chłopców wokoło uwielbionej zawsze osoby ks. Wiktora Grabelskiego. Cóż się stało? ażaliż dzieło Boże, jakie ujawniało się w gronie polskiej młodzieży we włoskim kraju, zaszczyconym obecnością głowy kościoła św., miałoby uledz sromotnie złowrogim pociskom nieprzyjaciół świętej i narodowej naszej sprawy? Nie, nigdy! — przypuszczać nawet tego nie ośmielam się.

Wprawdzie nie brakło w naszym wypadku wstrząśnień szatańskich popędów; nie brakło i na pozór, sądząc ludzkim czyście rozumem, nieprzychylnych jakoby wyroków Opatrzności dla naszej sprawy; lecz tensam Bóg, który Jobową wytrwałość doczesnemi i wiecznemi łaskami sowicie wynagrodził, czuwał nad swem dziełem i nader pomyślny obrót dał naszej sprawie w Zgromadzeniu Salezyańskiem.

„Ks. Wiktor Grabelski umarł — powiedziano mi — a jego zwłoki spoczywają na polskiej ziemi; echo zaś polskich dźwięków, polskiego zapału i dążności polskiej młodzieży Opatrzność przeniosła również do Polski. Na ziemi galicyjskiej, w Oświęcimiu, i Daszawie ks. Misyonarz spotka się z nimi.“ Na tę wiadomość naprzemian radość i boleść opanowały moje serce, stęsknione za ojczyzną i swoimi.

zaś tym, którzy hojnymi swymi datkami wsparli narodowe i religijne nasze dzieło w Zgromadzeniu Salezyańskiem z główną siedzibą w Turynie, a dziś, ze względów na ukochaną ojczyznę, w Oświęcimiu.

Dzieło to, wsparte ze strony naszego społeczeństwa, tak dla korzyści krajowej, jako i dla tysięcy a nawet i milionów rodaków, porozrzucanych na krańcach świata, potwierdza



Ubieganie się w złożeniu pierwszych cegieł na kościół — Toay · Pampa Central.

niezbitym dowodem, że kraj nasz nawet z upływem lat, w pełnym wirze chwiejnych ideałów, jakie podkopują społeczeństwo ludzkie, godnym jest zawsze zaszczytnego przydomku „Polonia semper fidelis“ — jakim udarzył go szczery nasz przyjaciel, nieodżałowanej pamięci Ojciec św. Pius IX.

Widocznie podobało się Najwyższemu wysłuchać nasze westchnienia, nasze prośby.

W blizkości niezwyciężonej opoki Następcy św. Piotra, pod włoskiem niebem, kilkaset naszej młodzieży — tak jak ja — dopięło tego celu, który we własnej ojczyźnie, w niektórych zaborach, z trudnością byliby osięgli, dając tem niezbite dowody, że w naszem społeczeństwie, z rozwojem i popędem narodowym idzie ręka w rękę poczucie religijne i chęć służenia Panu, który kieruje losem narodów. — Chwała więc zato na wysokości Bogu a na ziemi pokój ludziom dobrej woli: mianowicie

Z prawdziwem zadowoleniem dowiedziałem się, że Przełożeni przeznaczyli Przewielebnego ks. Dobrodzieja na głównego kierownika naszych zakładów w Polsce. Nie wątpię, że ks. Dobrodziej, chociaż obcy naszemu krajowi urodzeniem, ale zato w miłości Chrystusowej, nie

znającej żadnego odcienia w ogólnych dążnościach zbawienia dusz, przywiązał się do naszego narodu w stopniu wymagającym poświęcenia wszystkich zasobów sił duchownych, intellektualnych i fizycznych, i nie omieszka uczynić co tylko będzie w Jego mocy, ażeby dzieło śp. ks. Jana Bosko zakwitło na polskiej ziemi i wydało obfity plon dla uciśnionego narodu. Ku wielkiemu mojemu zadawoleniu poinformowano mnie, że szczera jest Przewielebnego ks. Dobrodzieja życzliwość względem tych, pomiędzy którymi Opatrzność przeznaczyła go być kierownikiem i przedstawicielem Zgromadzenia, mającego za hasło dwa najżywotniejsze czynniki, mogące uszczęśliwić nietylko pojedyńcze jednostki, ale i całe narody: *Praca i modlitwa.* Boć tylko niczem nieuniewinniona naiwność zaprzeczyć jest w stanie, że dwa te wzniosłe czynniki stanowią główną podwalinę w życiu doczesnem i nadprzyrodzonem każdego człowieka a niemniej i narodu.

Naród, któryby nie wytężał swych sił nad rozwojem swej wiedzy umysłowej, któryby nie ważył postępu swej sztuki i przemysłu, któryby wreszcie uważał za rzecz podrzędną błagać Niebiosa o pomoc i łaski, taki naród byłby sam sobie najsurowszym sędzią, wydającym dla siebie samego wyrok doczesnej i wiecznej zagłady.

Z prawdziwą radością spostrzegam, że duch ten ożywczy, napełniający serce błogą nadzieją, stanowi i w mojej ojczyźnie główną podnietę do dążności, prawem natury przyznanej każdemu narodowi. Pomiędzy innemi opieram i na tem moje przekonanie, że widzę, jak w ojczyźnie przejęto się szczerze zasadą naszego Zgromadzenia : Modlitwy i pracy. Dowodzi tego szczodre popieranie dzieła śp. ks. Bosko i zaufanie, jakiem ludność darzy moich braci w Oświęcimiu, oddając im na wychowanie młodzież, która pod przewodnictwem Przewielebnego ks. Dobrodzieja w pracy i modlitwie sposobi się, by służyć wiernie Bogu i być pociechą dla ojczyzny.

Wracając do śp. ks. Grabelskiego, wspomnę nawiasem, że i on doznał widocznie łaski nieba za swoje poświęcenie się na obczyźnie dla swoich ziomków. Pamiętam, że jednem z głównych pragnień szlachetnego jego serca było życzenie, by po swem tułactwie i nieocenionem poświęceniu się dla swoich, złożyć swe kości na polskiej ziemi. Spełniło się jego życzenie, jakkolwiek za prędko i z wielką szkodą dla naszej sprawy, gdyż jak mi oświadczono, skołatanego na zdrowiu z nawału pracy, jaką w swym zapale dobrowolnie prawie obciążał swe siły, wysłano go w celu wypoczynku do Oświęcimia, gdzie zaraz po kilku tygodniach spoczął na zawsze . . . . . Nie wątpię jednak, że duch jego, ożywiony zawsze tym samym zapałem, i z górnej krainy nadal czuwa nad sprawą, jaką rozpoczął z tak wielkiem zaparciem się siebie samego. Wzdycham za ową chwilą, w której danem mi będzie łzami wdzięczności zrosić jego mogiłę. Oby ta ojczysta ziemia, którą nawet z dala tak bardzo kochał, lekką mu była !

Zamiarem moim było zdążyć jak najprędzej do grodów Krakusa, Przemysława i Lecha, by na pięknej *nad wszystkie* ziemi ojczystej odetchnąć wiosennem powietrzem. Niestety okoliczności zmuszają mnie, udać się wprzód do stolicy świata katolickiego, do Rzymu; powód dla którego wyprzedzam moje przybycie niniejszym listem wraz z kilku widokami naszych tułaczy na amerykańskiej ziemi, którzy wśród porównawczo znośnych stosunków materyalnych również wzdychają za ojczystą glebą. Biedacy! żałują dzisiaj swej nieroztropności, swego występku względem ojczyzny ; wzdychają za wonią ojczystych błoni, za tym śpiewem, niezrównanym żadnymi dźwiękami, wesołego skowronka, za ta wioską i strzechą rodzinną, które z tylu drogiemi wspomnieniami zawsze przed oczyma im stoją; wzdychają za tym ubogim lecz miłym zawsze kościółkiem, w którym odrodzeni wodą chrztu św. w latach swych dziecinnych nabierali męstwa ku zwalczaniu w późniejszym wieku wszelkich pobudek do obrazy Najwyższego Boga; wzdychają za tą Bożą Męką, przed którą na skraju swej wioski, idąc i wracając od pracy, schylali korne swe czoła. — Och, bo też to są skarby których nie zastąpią żadne dobra świata !

To też garstka naszych ziomków, rzucona losem w okolicę *Pampa Central*, obok Sta.

Rosa de Toay, za pałem bierze się do dzieła, by uprzyjemnić sobie tułactwo, a dzieciom przekazać święte, charakterystycznie polskie nasze zwyczaje. W myśl takiego pojęcia wystawili Bożą Mękę na rozstajnej drodze; w kilka dni przed moim wyjazdem, zaczęli znosić na poświęcone miejsce materyał na skromny kościółek; a w Wielką Sobotę nie omieszkali nawet zastawić suto stoły, by w dzień następny, polskim



Poświęcenie krzyża i willi polskiej w Toay, Argentyna.

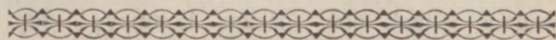
li tylko zwyczajem, uraczyć się *Święconem*. Pamiętnym na zawsze zostanie dzień ten, w którym z prawdziwem dla mnie zadowoleniem i radością polskich osadników w Pampa Central dokonałem ceremonii poświęcenia na dzień Wielkanocy przysposobionej przez nich żywności. W kilka dni potem pożegnałem ich, celem udania się w podróż do Europy. Z przybyciem do Genui, na włoskiej ziemi, odebrałem złowrogą wiadomość, że ojciec mój najdroższy, który tak bardzo pragnał widzieć się zemną, rozstał się z tym światem właśnie w Wielką Sobotę. Najwyższemu podobało się radość moją uściskania najdroższych mi osób zaprawić goryczą i żalem. — Lecz bądź wola Twoja, Panie!

Łaskawej pamięci w modlitwie polecam Przewielebnemu ks. Dobrodziejowi, kochanym braciom, i wychowankom w Oświęcimiu i Daszawie duszę śp. kochanego rodzica i pozdrawiam wszystkich serdecznie.

Do widzenia, jeśli Bóg pozwoli.

Ks. Stanisław Cynalewski.

P. S. — Przy sposobności doręczę ks. Dobrodziejowi całą setkę fotografii z odnośnemi wyjaśnieniami moich czynności misyjnych, widoków z zwyczajów w Argentynie. — Zresztą zamierzam wydać zbiórek korespondentek z temiż widokami, których dochód przeznaczony będzie na pokrycie ogromnych potrzeb powierzonej mi misyi, tak pomiędzy obcymi, jak pomiędzy Polakami.



Misyonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy) (*).

Salezyanie urwali rozmowę, i spojrzeli po sobie, lecz nie było przerażenia w ich twarzach: wiedzieli doskonale, co to miało znaczyć, lecz dawno już byli ofiarowali Bogu ten gorzki kielich, jaki na nich czekał każdego dnia i każdej godziny, i spokojnie oczekiwali go.

Zeszli do rozmównicy: biedny furtyan, któremu przerwano w tak niemiły sposób smaczny sen, ujadał się z żołnierzami, nie chcąc w żaden sposób wiedzieć o otwieraniu o tak spóźnionej porze zakładu dla obcych. Jedna i druga strona obstawała przy swojem, gdy nagle zjawił się na szczęście dyrektor. Natychmiast oficer stanął dumnie na czele swej pikiety i poważnym tonem wezwał przybyłego do udania się z nim na policyę wraz ze wszystkimi swymi podwładnymi.

— A to po co o tej godzinie?

(*) Zobacz str. 120 i następne.

— Nie pora pytać po co: naczelny komisarz wzywa Ojców na krótką konferencyę.

— Słucham, bo muszę: panowie tymczasem raczcie się ugościć w naszym ubogim domku. To rzekłszy, skinął na odźwiernego, by uraczył przybyłych kieliszkiem, sam zaś wyszedł celem zwołania drugich i przygotowania ich do drogi. Ledwie przekroczył próg swej ubogiej celi, wpadali przestraszeni i zaciekawieni jeden po drugim młodzi księża i klerycy; lecz widząc twarz swego przewodnika pogodną a nawet uśmiechniętą, nabrali lepszej myśli, ustąpiła w nich wszelka obawa i bez wahania poszli się ubierać.

Żołnierze tymczasem nie pogardzili wybornem winem i popijali w najlepsze, gdy weszli ich przyszli więźniowie. Ojeda na ich widok wyprostował się jak struna i tryumfującym okiem powiódł po czarnej drużynie. Byli to przecie ci sami, którzy, aczkolwiek bezwiednie, sprowadzili jednak nań znaczną konfuzyę, gdy posłany był niegdyś dla perkwizycyi ich mieszkania. Teraz czas odwetu! Jednak górą Ojeda! — takie musiały być jego myśli, gdyż z ironicznym uśmiechem na ustach ukłonił się w pas i wyrzekł powoli a dobitnie:

— Jestem kapitan Ojeda: nie pierwszy raz mam zaszczyt gościć pod waszym dachem.

Nie zważał na to dyrektor, choć nie wiedział może, iż tym sposobem nadzwyczaj boleśnie uraził dumnego żołnierza, lecz odparł sucho:

— Na inny raz komplementy, panie kapitanie: oto nas masz i prowadź dokąd rozkazano, gdyż noc już, a nam idzie o spoczynek potrzebny do pracy, która jutro znowu nas czeka.

— A czy tu wszyscy podwładni ks. Dobrodzieja — zapytał kapitan.

— Brakuje tych kilku, którzy dozorują chłopaków w sypialniach. Tam zaś iść nie można, by nie wystraszyć niepotrzebnie malców.

— Ja ich koniecznie potrzebuję.

— Przecież na konferencyi, o której pan wspominałeś oni całkiem zbyteczni, skoro ja biorę za nich wszelką odpowiedzialność.

— Rozkaz jest taki.

— A czy wolno prosić o pokazanie go na piśmie?

— Na takie bagatele nie potrzeba żadnego pisma: zresztą nie bierz sobie ksiądz odpowiedzialności za nieposłuszeństwo kapitanowi Ojedzie. — Panie wachmistrzu, z dwoma żołnierzami ruszaj do lokalu i sprowadźcie wszystkich na dół.

Nakaz w tej chwil spełniono. Bez żadnego względu pakują się żołnierze z hałasem do sypialń, szarpią za cele asystentów, wzywając do bezzwłocznego pójścia za sobą. Ten i ów, w pierwszym śnie pogrążony, zrywa się nagle i niedocucony dobrze woła: „Co? gore? gdzie? jakto!" — Dopiero groźna postać żołnierza przywraca mu przytomność, w pamięci stają przeszłe obawy, i wtedy zaczyna rozumieć, o co właściwie chodzi. Ten niezwykły harmider zbudził chłopców. Widząc w świetle nocnych lampek snujące się pomiędzy szeregami łóżek mundury, przelęknięci wychodzą z pod pościeli i kupiąc się dokoła celek swych dozorców, pytają strwożeni: — Czego oni tutaj chcą?

— Przyszli po nas, by nas stąd uprowadzić.

— Co! uprowadzić księży? Uprowadzić naszych opiekunów? Cóż my bez nich poczniemy? Boże, toć to rzecz niesłychana!

— Prędko, prędko — naglił tymczasem żołnierz.

Zaledwo pierwszy asystent wszedł na salę, otoczyła go ciasnem kołem dziatwa, i czepiając się rąk, płaszcza, sutany, z płaczem wołała, iż za nic w świecie nie puści nikogo z nich. Była to scena rzewna, rozdzierająca. Lecz dla tych dzikich ludzi nie było to niczem innem, jak oporem, który rozbudzał ich namiętność. Odpychając razami kolb dziatwę, otworzyli sobie drogę do drzwi i uprowadzili swoje ofiary, nie dbając na płacze i nawoływania.

Zeszli na dół, gdzie w milczeniu prawie oczekiwali na nich inni: wydano ostatnie rozporządzenia gospodarzowi i wychodzą. Lecz i tu nowa przeszkoda. U drzwi zebrała się liczna gromada chłopców nieodzianych, lecz zbrojnych w tęgie kije, gotowych na każde skinienie bronić swych przełożonych. Ustawili się w cztery szeregi przed bramą, z zamiarem nie puszczenia nikogo. Na groźny rozkaz kapitana by się natychmiast rozeszli, odpowiedzieli potrząsając tęgimi kosturami. Dopiero gdy

sam dyrektor przemówił do nich w serdecznych słowach, by zaniechali gwałtów, obiecując im rychły swój powrót, poczciwe chłopczyska szlochając głośno rzucili się do jego stóp, żegnając z wylaniem swego ojca, poczem orszak ruszył dalej. Na pierwszym skręcie, gdy stracili z oczu budynek zakładu i nie potrzeba się było obawiać powtórnego napadu ze strony wychowanków, kapitan Ojeda zakomanderował: *stój*. Miał spełnić ostatnią część swej szczytnej misyi. Opiewała ona, by na policyę stawili się jedynie księża i klerycy obcej narodowości, pozwalając pozostać rodowitym Amerykanom. Gdy to nasi usłyszeli, nie mieli już najmniejszej wątpliwości co do rzeczywistych zamiarów policyi: czekała ich bezzwłoczna deportacya, przemusowa, niesprawiedliwiona, ukryta. Żal ścisnął im serca, nie jedna łza zabłysła w oku. Przyszło nareszcie żegnać ulubione pole pracy, potu, ale i pociech i chwały. A biedni wychowankowie!... Lecz nie było czasu na rozmyślania: kapitan naglił. Ponieważ na pierwsze wezwanie nikt nie wysunął się z szeregów, kazał sobie poświecić, i głośno przeczytał nazwiska. Lecz nim skończył, jeden z kleryków wniósł głośny protest, oświadczając gotowość dzielenia losów swych braci zakonnych. Za wiele tego było Ojedzie: skinął na żołnierzy, którzy nie cofając się przed gwałtem osobistym, wszystkich wyprowadzili.

Nareszcie można było iść spokojnie dalej. Była godzina pierwsza po północy. Księżyc dobiegał kresu swej nocnej wędrówki i grube cienie domów zalegały wąskie ulice. Cisza była dokoła nie przerwana niczem, jak tylko dalekim szmerem rzeki, toczącej swe fale po urwistych złomach Andów. Od czasu do czasu świst lokomotywy biegł się łamać o granitowe szczyty. Orszak postępował zwolna i w milczeniu, gdyż wielkie było przygnębienie każdego po ostatnich zajściach. Prócz tego ulice, któremi szli, tyle nasuwały różnych myśli! Ilekroć każdodziennie przebiegali te same ulice ożywione setkami ludzi, witani wszędzie i zawsze z niekłamaną uprzejmością odbierali pozdrowienia, szczycił się, komu się odkłonili: a dziś prowadzą ich pod zbrojną ekskortą, jak publicznych zbrodniarzy.

— *Tempora mutantur* — zauważył ktoś.

— Lecz stary Bóg, obrońca niewinnych, zawsze żyje, — odpowiedział głośno dyrektor.

— Cieszmy się raczej — dorzucił ktoś inny — żeśmy dożyli zaszczytu, być męczennikami dobrej sprawy.

— Zawszem ja mówił, że takto się skończy cała ta historya.

— Eh! w górę serca, bracia: *Laetantes imus!*

— Ale dokąd?

— Dokądbądź pójdziemy, mamy Boga nad sobą: włos nam z głowy bez Jego woli nie spadnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezyańscy zyskać mogą w miesiącu wrześniu.

Pomocnicy salezyańscy, który wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencyę Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu wsrześniu następujące odpusty;

A. — *Zupełne:*

a) W dzień Narodzenia Najświętszej Panny (8. września).
b) » » Imienia Maryi (9. września).
c) » » Wywyższenia św. Krzyża (14. września).
d) » » Siedmiu boleści M. P. (16. września).
e) » » Poświęcenia św. Michała Archanioła (29. września).

f) W dzień w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

g) Raz na miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

h) Raz na miesiąc w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. zw. *dobrej śmierci.*

i) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Sercu Jezusowemu.

B. — *Cząstkowe.*

Odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen zyskać mogą Pomocnicy, którzy conajmniej wzbudzili serdeczny akt skruchy:

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu.

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.

c) Odpusty 300 dni, ilekroć wzbudziwszy conajmniej serdeczy akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną.

Wszystkie powyższe odpusty można ofiarować za dusze w czyśću cierpiące.

*

MISYE SALEZYAŃSKIE

Chiny.

Stało się!

(List ks. Fergnaniego do Najprzew. ks. Rua).

Macao, 21 kwietnia 1906

NAJDROŻSZY OJCZE!

Podaję szereg drobnych szczegołów dla innych bez znaczenia ale dla nas wielkiej wagi. — Przez 26 dni jechaliśmy przyjemnie po spokojnych morzach do Macao. W serdecznem przyjęciu synów ks. Bosko miały udział deputacye kleru miejscowego i znaczny tłum ludności. Udaliśmy się zaraz do seminaryum i tam u OO. Jezuitów mieszkaliśny cały tydzień tak swobodnie i spokojnie, jak tam daleko w ojczyźnie. Ale nie mogliśmy się doczekać chwili objęcia schroniska i już przed ukończenien robót osiedliśmy w naszej rezydencyi. Biednie, nędznie wszystko tu wyglądało! Nawet sierot nie mogliśmy zaraz przytulać. Ale dziś możemy sobie wreszcie powiedzieć: *Stało się!*

Stało się to, o czem marzyły całe pokolenia gorliwych nowicyuszów, kleryków i kapłanów. Stało się to, co w niejednem sercu rozpalało stygnącą żarliwość i umysły zagrzewało wyczekiwaniem jakichś faktów nawpół osłoniętych pomroką przyszłości a nawpół oświetlonych światłem tajemniczem, dalekiem, aż za słabem dla oczu zwykłych śmiertelników. Stało się! Salezyanie pracują wśród Chińczyków! Drzewo salezyańskie, które z potu i znojów ks. Bosko i synów jego czerpało żywotne soki, wyrosło wysoko i szeroko rozpostarło swe konary. Ilu młodzieńców spoczęło w jego cieniu i znalazło schronienie przed nawałnościami świata! Ale na to drzewo nie padły jeszcze były promienie gorącego słońca wschodniego. Teraz aż do Chin sięgnęła jedna jego gałązka, dziś jeszcze słaba i wątła. Jakie obszary mogłaby ona tu zacienić! Ilu nieszczęśliwych ochronić i zbawić! Ojcze najdroższy! nie zapomnimy dnia przyjazdu do brzegów chińskich, ale złotemi cyframi zapiszemy w kronikach dzień, którego chórem wyrzekliśmy to słowo: *Stało się*.

Trzydziestu przyjętych dziś chłopaczków chińskich okazuje uległość i umie zastosować się do porządku domowego. Posiadają łatwość przyswajania sobie wiadomości i rzemiosł i okazują we wszystkiem niezwykłą rozwagę i cierpliwość.

Są niemałe trudności językowe, aleśmy je obeszli, posługując się zdolnym tłómaczem. Jest nim kleryk, który w tutejszem seminaryum ukończył studya i oprócz ojczystego języka chińskiego posiada również kilka języków europejskich. I nie koniecznie się lękamy trudności językowych. Wiadomo Ojcu, że miłość przemawia językiem tajemniczym, który bez materyalnego brzmienia wyrazów odkrywać umie skryte myśli ludzkie. Bawimy się więc z chińską dziatwą, biegamy i rozmawiamy, jak dawni znajomi. Oni opowiadają o niezliczonych pięknościach niebieskiego państwa a my..... z taką samą szczerością odpowiadamy po włosku a nawet po piemoncku i mamy to słodkie przekonanie, że dopóki taki stan rzeczy istnieć będzie, dopóty nie będzie konfliktu pomiędzy naszemi a ich zapatrywaniami. Niemały to zysk mojem zdaniem!

Zresztą zdaje mi się, że patryarchalny język chiński przedstawia wprawdzie pewne nieprzezwyciężone niemal trudności pod względem pisma, ale wymowa nie jest znowu tak niemożliwa, jak to w Europie głośno twierdzą. Doświadczamy tego na sobie, bo już niejednę rzecz umiemy po chińsku nazwać a mamy nadzieję, że za kilka miesięcy będziemy już mogli katechizm Chińczykom wykładać.

Mógłby atoli kto zauważyć, że osiedliśmy w kolonii europejskiej, owszem w najstarszej kolonii chrześcijańskiej i żyjemy w swiecie ucywilizowanym według pojęć zachodnich

Tak jest. I uważam to za nasze szczęście z dwóch powodów. Najprzód bo radzimy sobie w początkach językiem portugalskim, a powtóre korzystamy z opieki rządu europejskiego. Zresztą należy pamiętać, że w Macao na 80000 mieszkańców przypada 72000 rasowych Chińczyków. Obecnie zatem nie mamy się po co zapuszczać do właściwych Chin, bo etnograficznie i pod względem potrzeb duchownych jesteśmy najzupełniej w obrębie państwa niebieskiego....

Ks. Jan Fergnani
Misyonarz Salezyański.

Z tej samej misyi pisze ks. Alojzy Versiglia pod datą 6. maja 1906 pomiędzy innemi:

„..... Wczoraj w pierwszą niedzielę maja Schronisko dla młodzieży chińskiej przestało być wyłącznym przedmiotem naszej pracy, bo przy kościele parafialnym św. Wawrzyńca założyliśmy kaplicę świąteczną dla młodzieży portugalskiej.

Początki były skromne: mieliśmy ogółem chłopców 21. Nie jest to atoli mała liczba, jeżeli weźmiemy na uwagę przeszkody, z któremi się musi liczyć istnienie nowego dzieła. Przedewszystkiem kaplica świąteczna jest tu nowością, która się ludziom nie może w głowach pomieścić. Zauważyliśmy więc pewną nieufność, jakieś wahanie się a raczej wyczekiwanie owoców nowej pracy. Nie mało wpłynęło i to, że nie najlepiej władamy językiem portugalskim i jesteśmy z tego powodu bardzo skrępowani. Ostatecznie podziałać misiało na ludność portugalską także nasze oddanie się młodzieży chińskiej, co się wręcz sprzeciwia powszechnej obojętności tutejszych przybyszów europejskich dla Chińczyków. To wszystko należy jeszcze uzupełnić ulewą, która od rana do wpół do czwartej po południu prawie nikomu nie pozwalała wychodzić z domu.



Sieroty chińskie w schronisku salezyańskiem w Macao (Cniny).

W Schronisku stwierdzić muszę stan lepszy od normalnego. Mamy 33 sieroty; po miesiącu nauki już się umieją czegoś chwycić. Z uczni krawieckich pięciu umie już uszyć spodnie bez pomocy i wskazówki majstra. Inni wyrabiają pończochy i szkarpetki. Za żadną cenę nie można tu dostać narzędzi szewskich; musiałem

po nie pisać aż do Europy. Obecnie używają tu szydeł zrobionych z cienkich gwoździ. Szkoły ślusarskiej nie mogę otwierać, dopóki nie nadejdą najpotrzebniejsze rekwizyta.

Zresztą nic nowego. Tylko upał daje się we znaki. Dziś 32 stopni w cieniu, a to podobno dopiero początek upałów..."

Indye.

(Listy ks. Jerzego Tomatisa do ks. Jenerała).

I.

Tanjore (South India)
17. kwietnia 1906.

Najmilszy Ojcze!

..... Stan zdrowotny — dobry, pomimo wzrastających upałów, które tak oddziaływają na nasze organizmy, że się pocimy od rano do wieczora i od wieczora do rana. Pomimo to ks. Biebuyck całemi godzinami pilnuje pracy nauczycielskiej i pełni obowiązki organisty podczas nabożeństw parafialnych. Ks. Vigneron począł uczyć łaciny a od czasu do czasu zaprzęga dwie krówki do wózka i jedzie do blizkich osad ze Mszą św. Ogromnie go takie wycieczki bawią. Kleryk Balestra zajmuje się przedewszystkiem młodzieżą schroniska i zjednał sobie jej sympatye.

Ciekawie wyglądały tu uroczystości wielkanocne. Już w wigilię niedzieli Palmowej o godz. 3ciej rano zauważyliśmy znaczny napływ ludności okolicznej. Byli to chrześcijanie, którzy przybywali odbyć spowiedź i przyjąć komunię wielkanocną. Natychmiast zaczęto słuchać spowiedzi. Tymczasem liczba penitentów rosła. O zachodzie słońca przeszło 200 osób obozowało koło kościoła. Musiano konfesyonały wynieść na plac i pod drzewami przy świetle księżyca spowiadać do 1-szej po północy. Kto się odbył, ten oglądnął się po placu za wygodnem miejscem i kładł się do snu na gołej ziemi. Gdy się wszystko pokładło, plac wydawał się głuchem pobojowiskiem zasłanem trupami poległych; tu i ówdzie odzywały się szmery i chrapanie niby konających ofiar miecza.

O godz. 5tej zadzwoniono na Anioł Pański. Wszyscy pozrywali się na równe nogi i zwróciwszy się twarzą do kościoła, odmawiali na klęczkach modlitwy poranne. O godz. 6tej odprawiłem sumę z poświęceniem palm. Gdy według zwyczaju zwróciłem się do tłumu, aby wręczać palmy, ledwo mi dwóch mężczyzn drogę zdołało utorować! Każdy wyciągał rękę po palmę, całował ją i przyciskał do piersi z budującą pobożnością.

Do Komunii św. przystąpiło 400 osób. Patrząc na ludność ciemną i bez wykształcenia a tak głęboko wierzącą, na tylu barczystych mężczyzn czarnych i nawpół nagich, na strojne niewiasty odziane szatami o żywych barwach — pomyślałem o Wszechmocy i Dobroci Boga, który umie do Siebie przyciągnąć nawet serca nawpół dzikie a nikomu nie zamyka skarbnicy łask Swoich.

Podobne objawy wiary ponowiły się kilkakrotnie w ciągu tygodnia, zwłaszcza podczas nocnej adoracyi z Wielkiego Czwartku na Piątek. Największy napływ wiernych i pogan zauważono w piątek po południu. Zwabiło ich przedstawienie Męki Pańskiej, odbywające się corocznie na placu od godz. 9tej wiecz. do 3ciej rano. Te sceny do tego stopnia podobają się ludności, że wpatrując się w nie, gotowi są przesiedzieć sześć godzin z rzędu na równej ziemi, nie dając najmniejszego znaku znużenia.

Najwspanialsze były nabożeństwa niedzieli wielkanocnej. O 3ciej z rana przybyły ostatnie kompanie chrześcijan z muzyką. O godz. 4tej ks. Biebuyck odprawił Mszę św. na placu. Po południu odbyła się procesya a w końcu przedstawiono dramat o św. Eustachym. To przedstawienie trwa kilka dni. W niedzielę wielkanocną grano od 9tej wiecz. do 2giej w nocy; podobnie wczoraj a dzisiejszej nocy prawdopodobnie go dokończą.

Lud lubi te przedstawienia i bywają wypadki, że poganie pod ich wpływem wyrzekają się bałwochwalstwa....

Ks. Jerzy Tomatis
Misyonarz Salezyański.



II.

Tanjore, 5. czerwca 1906.

..... Żyjemy w kraju gorącym. Już od miesiąca temperatura trzyma się uporczywie 39 stopni; rzadko zniża się do 38 a nieraz podnosi się do 40. Ziemia jest spiekła i rozpalona; po drzewach znać, że odczuwają suszę. Minęła wiosna, ale nie widzieliśmy jej europejskiego uroku: nie było róż, drzewa nie zabarwiły sie wonnem kwieciem. Wiśnie, brzokwinie, jabłonki, grusze i winograd są tu zupełnie nieznane. W lepszych ogrodach hoduje się latorośl winną jako roślinę egzotyczną, lecz winogrona podobno nie dojrzewają. Ale nie tylko wina niema; brak nawet dobrej wody do picia. Wodę i to deszczową znaleźć można tylko w otwartych, zanieczyszczonych zbiorach, z których ludność pije a w których nieraz urządza sobie przyjemne kąpiele...

Ale to pół biedy. Bez porównania więcej niepokoi nas siła pogaństwa, które nas zewsząd otacza. Misyi tutejszych do misyi amerykańskich przyrównać nie podobna. Tam misyonarz szuka dzikusa, odnajduje go i ujmuje dobrotliwem słowem: dziki go słucha, wzrusza się i nawraca. W Indyach niema biednych, prostych synów puszczy; tubylcy posiadają swoją cywilizacyę i są świadomymi, upartymi bałwochwalcami, którzy czci bożków za nic w świecie porzucić nie chcą. A jest ich 250 milionów.

Przed kilku tygodniami podróżowałem po wybrzeżu zatoki bengalskiej. Przejeżdżałem przez kilka osad a nigdzie nie widziałem śladu kościoła, tylko wysokie pagody pogańskie i muzułmańskie meczety. Po stacyach stoją gromady podróżnych a wszyszy nosza na czole oznakę swego wyznania i swej kasty. Towarzyszący mi starszy kapłan objaśnił mnie, że w tych osadach niema ani jednego chrześcijanina; mieszkają tu jedynie poganie i mahometanie.

Trzymają się swego wyznania z dziwnym uporem i biada temu, którýby chciał być pod tym względem postępowy i niezależny. Zostałby wykreślony z kasty i straciłby wszelkie poważanie. Swoją cywilizacyę uważają za szczyt kultury a Europejczykiem i misyonarzem gardzą. Rzadkie są tu zatem nawrócenia. Tylko w niższych kastach szerzy się chrześcijaństwo a najobfitszy plon zbiera kapłan pomiędzy t. zw. *parias*, to znaczy pomiędzy biednym ludem, który wyższe kasty uważają za niewolników.

Ks. Proboszcz zasyła Ojcu swe ukłony. Biedny on! Całymi dniami spowiada i załatwia spory. Bo godzić poważnione strony, to w Indyach obowiązek misyonarza. Każdego dnia przybywają poważnione gromady i krzycząc wytaczaja swe skargi przed proboszczem. Biedny ksiądz musi ich wysłuchać i przekrzyczeć i umęczyć się jedną sprawą nieraz 3 lub 4 godziny. Nawet sądzenie kłótni należy do kompetencyi proboszcza. Gdy interesowani odnieśli guzy i sińce albo wykazać sie mogą cięższemi obrażeniami ciała, to niemała sztuka pogodzić ich za dzień.

Od dwóch miesięcy plac przed kościołem przepełniony mrówiem strojnych przybyszów. Jest to czas ślubów. Przybywają całe rodziny i stają obozem wokoło kościółka. Przez 15-20 dni zaręczone pary, rodzice, bracia i siostry chodzą na katechizm i całymi dniami powtarzają usłyszane nauki. Po stwierdzeniu należytego przygotowania proboszcz wyznacza dzień ślubu. Wszyscy przystępują wtedy do św. Sakramentów. Obchód weselny jest bardzo prosty. Młoda para stroi się w kwiaty. Uczta wesoła ale skromna; kto bogatszy, ten tego dnia występuje w kosztownych strojach: widziałem młode panie, którym z bransoletek, zauszników i broszek świeciły dzisiątki pereł i dyamentów.

Nie mogę zamilczeć, że dwóch naszych współbraci musiało wyjechać do gór, aby poratować zdrowie nadwyrężone klimatem i stołem tak odmiennym od ojczystego. Potrzebujemy naprawdę zasiłku, bo mało nas a wszyscy mniej więcej osłabieni...

Ks. Jerzy Tomatis.

WIADOMOŚCI POTOCZNE

LWÓW. — Doroczna uroczystość św. Franciszka Salezego i Najśw. Panny Wspomożycielki a Pracownicy Lwowscy.

Śród oktawy św. Franciszka Salezego odprawił Wielebny ks. Dyrektor naszego Stowarzyszenia Mszę św. w intencyi członków; wiele przystapiło do Komunii św., przygotowując się do powyższych uroczystości nowenną oraz spełnieniem dobrych uczyków.

Pani Przełożona Bronarska pobożnym śpiewem przyczyniła się nie mało do podniesienia ducha w obecnych na nabożeństwie. Po Mszy św. wygłosił Czcigodny ks. Dyrektor podniosłą naukę, podnosząc wielkie zasługi ukochanego Patrona naszego w Jego pismach, zawarte.

,,Życie św. Franciszka Salezego'', powiedział Szanowny Mowca, było na pozór tak ciche i jednostajne, że można je porównać z powierzchnią spokojnego oceanu, która choć jest gładką na zewnątrz, jednak w łonie morza wre zycie tysięcy najróżnorodniejszych istot. Wielkość naszego Patrona polega na tem, że dziewicze Jego serce pałało najwyższą miłością ku Swemu Stwórcy a umysł Jego zawsze pogodny bezustannie pracował nad przymnożeniem Mu najwyższej chwały.

On to idąc za wzorem Zbawiciela był zawsze najściślej z Bogiem zjednoczony a wpatrując się w Boskie Serce, bolał nad tem, co Serce Boga raniło, przemyśliwając dniem i nocą, jakby się Najśw. Sercu mógł przypodobać. Obierając sobie zawód kapłański, udaje się w strony najbardziej herezyą zagrożone i z narażeniem własnego życia głosi odszczepieńcom prawdę Chrystusową. Gdy żmudna ta praca nie przynosi pożądanego owocu, nie zraża się tem bynajmniej, lecz modlitwą i nadzwyczajnem umartwieniem stara się wyjednać łaskę nawrócenia dla odstępców.

Jakkolwiek złość nieprzyaciół Kościoła zdawała się być niezwyciężoną, jednak miłosierdzie Boże nie mogło się oprzeć wytrwałym modłom św. Męża, któremu aż 80.000 heretyków zawdzięcza swe nawrócenie. — Chwile wolne od służby Bożej spędzał w konfesyonale, spowiadając po całych dniach a słodyczą swą i dobrocią taki urok wywierał na penitentów, że znaczna ich część stając się na wzór jego cicha, uboga i pokorna, dochodzi do wielkiej świętości jak św. Franciszka de Chantal, z którą założył zakon Nawiedzenia Matki Boskiej, znany u nas pod nazwą Panien Wizytek. Na tem się jednak nie kończy Jego działalność. — On pragnie pozyskać Chrystusowi dusze zdala od niego żyjące i te, które dopiero kiedyś zostaną powołane do życia duchownego. Z pod pióra jego wychodzi wiele nieśmiertelnych dzieł pełnych niebieskiej mądrości, w których wskazuje łatwą drogę nabycia najwyższej doskonałości.

Do tych należą: ,,Droga do życia pobożnego'' — Traktat o miłości Boga — ,,Filotea''. Członkowie Stowarzyszenia św. Salezego powinni mieć na pamięci żywot św. Patrona i naśladować Go, jeśli nie w nadmiernej pracy i umartwieniu, to przynajmniej w Jego miłości dla bliźnich i słodyczy w obcowaniu z drugimi a tą drogą postępując zjednają sobie nie tylko wiele przyjaciół na ziemi, ale może i niejednę duszę pozyskają Panu za przyczyną naszego Orędownika, co daj nam Boże. Amen.''

Po zakończeniu Nabożeństwa podał Wielebny ks. Dyrektor ku publicznemu uczczeniu relikwie św. Franciszka Salezego.

Drugą niemniej podniosłą uroczystością dla Pracowników naszych było Święto ,,Wspomożenia Najśw. Maryi Panny'' połączone w tym roku z Uroczystością Wniebowstąpienia Pańskiego.

Wielebny ks. Dr. Gaworzewski a nasz Czcigodny Dyrektor, chcąc dać wyraz zadowoleniu naszej Szanownej Przełożonej oraz i Członkom za gorliwą pracę, zaprosił Najprzewielebniejszego Naszego Arcypasterza Ks. Dra. Bilczewskiego na powyższą uroczystość. Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup przyjąwszy uprzejmie zaproszenie przybył do kaplicy WW. SS. Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo, gdzie odprawił Mszę św. w intencyi 100 zgromadzonych członków, z których część przeważna przystąpiła do Komuni św., poczem, wypowiedział mowę w pełnych namaszczenia słowach: ,,Najmilsi w Bogu zgromadzeni słuchacze! Gdy urodzi się dziecina, uszczęśliwiona rodzina bierze ją na ręce, cieszy się nią; gdy rośnie i rozwija się, jest przedmiotem szczególniejszej troskliwości swoich rodziców, pociechą ich trudów, uweseleniem domu i swego blizkiego otoczenia. Gdy staje się dziewica myślą i pragną rodzice by w jak najpewniejsze ręce oddać swój skarb. Jeżeli też poda rękę mężczyźnie dziewica — gdy klękną przed ołtarzem i przysięgną sobie na złą i dobrą dolę stać nierozdzielnie przy sobie — trudne i wielkie obowiązki bierze ona na siebie; aniołem stróżem ma być duszy męża, pociechą i weselem jego dni, pomocą w trudnych przejściach żywota. Gdy godnością macierzyństwa ozdobi ją Bóg, wtedy podwójnie szczęśliwa, że wychowuje człowieka — ma się starać, aby godnym się stał tego imienia, by był dobrem dzieckiem bożem, służył wiernie Bogu ludziom i Ojczyźnie. — Mężczyzna mąż winien ją otoczyć miłością i sza-

cunkiem — wolno mu nosić ją na rękach, nie wolno jej krzywdy uczynić. — Ale czy tak się zawsze dzieje? —

W starożytności choć upominały się niewiasty o swe prawa, odpowiadał jej mężczyzna: «Jesteś rzeczą, zabawką, niewolnicą, zwierzęciem; praw nie masz żadnych.» Historya więc mało o kobietach wspomina (jak o matce Grachów i kilku innych). Dopiero z chwilą przyjścia na świat Bogarodzicy podniesienie kobiety do godności macierzyństwa Bożego, wypowiedziane w hymnie swojej przyszłej chwały, że ,,błogosławioną zwać mię bedą wszystkie narody'', spowodowało, że dla kobiety rozpoczyna się nowa era. Odtąd szanowaną i zrozumianą jest jej działalność w łoni rodziny a nawet głos jej słusznie ma ważyc w sprawie narodu, jako matki pokoleń. — Choć i mężczyznę uszlachetniła Najsw. P. Marya, bo między mężami wielkiej zasługi, czy artystami malarzami czy rzeźbiarzami i wszystkimi, co stworzyli arcydzieła sztuki, zawsze znajdziemy czcicieli Maryi. W ich sercach płomieniła się gorąca miłość Matki Bożej. Dla kobiet jednak uczyniła ona najwięcej — położenie swoje dzisiejsze Najśw. Pannie zawdzięczają. W pierwszych wiekach chrześcijańskich były też niewiasty wpatrzone w ten przeczysty typ i ideał swój — działały bardzo wiele dobrego w młodym wówczas kościele katolickim. Św. Anastazya przygotowała 100 mężczyzn i 200 kobiet do chrztu św. Wielu z nich męczono później za wiarę a oni umierając wołali: ,,Możecie mi wydrzeć serce, ale wiary w Jezusa Chrystusa i miłości do Niego wydrzeć mi nie potraficie.'' — Św. Franciszka Rzymianka to wzór najlepszej żony i matki ubogich, opiekunki dziwnie pięknie jaśniejącej cnotą cierpliwości i pobożności. — Mąż jej chcąc raz wypróbować posłuszeństwo żony, podczas gdy odmawiała jak zwykle Officyum do Matki Boskiej, odwoływał ją od modlitwy po kilka razy — ona nie dokończywszy nawet wiersza szła posłuszna do jego pokoju zawsze chętna do jego posługi; ani cienia zniecierpliwienia żadnego na twarzy widać nie było — tak wysoko ceniła sobie święte posłuszeństwo małżeńskie.

W ostatnich chwilach życia, gdy spowiednik pytał się jej, widząc poruszenie warg, czyby życzenia jakiego nie miała, odpowiedziała, że kończy swoje Officyum. Tak umierała święta niewiasta.

,,Wspomożeniem Wiernych'' jest nasza Patronka — tytuł sam za siebie mówi. Wy macie być czcigodne Panie wspomożeniem waszych rodzin, najbliższych waszych krewnych i przyjaciół, rozszerzać i wszczepiać w młode dusze zasady świętej religii katolickiej, utrwalać w sercach młodzieży miłość Jezusa Chrystusa i w tej działalności macie być znane i cenione w szerokich kołach katolickich. — Wzięłyście sobie za zadanie przysposabiać konieczne do szczytnej Ofiary Chrystusowej sprzęty liturgiczne; zaiste ubogi Chrystus po ubogich kościołach przyjmuje tę jałmużnę od was i błogosławi was za to. — Życie wasze co dzień przez czyny dobre stawać się będzie doskonalszem wniebostę — powaniem a ostatni akt życia będzie porywem duszy miłującej Chrystusa i pragnącej Go oglądać i z Nim się połączyć na wieki.



Przygotowanie święconki u polskich osadników — Toay, Argentyna.

Po nabożeństwie zwiedził Najprzewielebniejszy nasz Arcypasterz wystawę robót kościelnych, przygotowanych mu przez Pracowniczki dla kaplic łacińskich, kreowanych na kresach Galicyi wschodnmej.

Panie Wanda Runge, Misiewicz Helena, p. Zawistowska, p. Makarewicz, Gottfried wielkie oddały usługi około robót kościelnych Stowarzyszeniu; niemniej składa Stowarzyszenie Salezyańskie na tem miejscu zarówno przezacnej Przełożonej Wielebnej Siostrze Jubilatce Paulinie Kuleszance jak i wszystkim Siostrom Zgromadzenia św. Wincentego szczere ,,Bóg zapłać'' za łaskawe odstąpienie sali oraz i pomoc siostrzaną w urządzeniu wystawy.

Pracownicy obdarzeni szczególniejszą łaską oraz arcypasterskiem błogosławieństwem Najprzewielebniejszego naszego Metropolity, powracali z najgorętszem postanowieniem działać i nadal pracować

w duchu Bożym, wskazanym im regulaminem świątobliwego Ojca Bosko.

BORGO S. MARTINO (Włochy). — Pierwszy zjazd byłych wychowanków kollegium św. Karola. — Kollegium św. Karola w Borgo San Martino to pierwszy po Oratoryum turyńskiem zakład salezyański. Od roku 1863-go pracują tam synowie ks. Bosko, (najpierw pod kierownictwem obecnego Jenerała Zgromadzenia, ks. Michała Rua), zawsze z zadziwiającem powodzeniem, i obecny dyrektor, ks. Rinaldi, powziął myśl zwołania zjazdu wszystkich tych, którzy w tym długim okresie kształcili się w rzeczonem zakładzie. Krótki czas, w jakim zamiar ten chciano przeprowadzić, przeszkodził licznym znaleść się, inni porozrzucani po wszystkich częściach nowego i starego świata, przesłali tylko swe adresy i mogli jedynie duchem uczestniczyć w uroczystości; lecz entuzyazm, z jakim zebrani w liczbie 200 przeszło witali się, nagrodził ten częściowy defekt zjazdu. Wieczorem przedednia przybył z Turynu najprz. Ks. Rua w towarzystwie ks. Bertello; kilka chwil potem zajeżdżał z Fraskati ostatni dyrektor, ks. prof. Isnardi. Powitała ich na dworcu deputacya miejska, grono przełożonych i wychowankowie zakładu, przyczem jeden z nich a następnie jeden z obecnych byłych wychowanków wygłosili mowy powitalne. Następnie ruszył orszak przez zdobne w wieńce i napisy ulice do zakładu, przy hucznych dźwiękach kapeli.

Nazajutrz odprawił ks. Rua mszę św. wspólną, a sumę odśpiewał w asystencyi ks. biskupa Gavotto, były przez lat trzynaście dyrektor tego kollegium, ks. Bertello. Przy obiedzie na 250 nakryć wygłaszano liczne toasty, wywoływano wspomnienia z czasów przebytych w tych błogosławionych murach. W końcu odczytał ks. Rinaldi telegram Ojca św:

Ojciec św., życząc by pierwszy zjazd alumnów tego kollegium umocnił węzły braterskiej miłości, i nowy zapał wlał w serca, ku postępowaniu drogą, wskazaną im przez synów ks. Bosko, całem sercem udziela swego błogosławieństwa wszystkim, którzy wezmą udział w jutrzejszem zebraniu.

Kard. Merry del Val.

Wystosowano odpowiedź, jak również drugi telegram do Jego Kr. Mości z wyrazami hołdu i poddaństwa.

Powstał jeszcze ks. Rua i w czułych wyrazach podziękował przybyłym za pamięć, jaką zachowali o zakładzie, zachęcał ich do kroczenia dalej drogą cnoty i obyczajów, a zarazem zapowiedział dwa nowe zjazdy: jeden na rok 1913, jako 50-tą rocznicę założenie zakładu, a drugi... do nieba.

Piękna ta data nie zatrze się w pamięci uczestników a dla zakładu stanowić zawsze będzie chlubną kartę.



LONDON — Misya Polska w Londynie. — Spieszymy podzielić się z szanownymi naszymi Pomocnikami dobrą wieścią: nowem tętnem zabiło życie salezyańskie w naszej misyi, w tych dniach miejscowa londyńska, polska młodzież zawiązała przy misyi kółko, p. t.: -,,Kółko młodzieży M. B. Częstochowskiej i św. Kazimierza,'' i wnet zawiadomiło szerokie koło swoich rodziców, przyjaciół i krewnych o istnieniu swojem nie słowem, ale stokroć lepiej, bo czynem: odegrało z młodzieńczą wesołościa komedyjkę p. t. ,,Coś nowego,'' przyczem nie zabrakło wprawdzie ,,nowych'' dodatków w komedyjce, mianowicie strzelania bąków o które z pewnością autorowi nie chodziło, ale wszystko to zatarła dobra wola widzów i słuchaczy, którzy za dobrą monetę przyjmowali nawet bąki, śmiejąc się z nich serdecznie i bijąc brawo, jakby za nowe dowcipy.

Po komedyjce przemówił, obecny chwilowo w Londynie, p. Profesor Milatycki z Odessy; przemówienie to całe tchnęło duchem miłości chrześcijańskiej; połączył w niem p. Profesor klasy i narody, składające się na nasze społeczeństwo, życzył wszystkim rozwoju i jedności, czem wszystkich też miłość pozyskał. Zakończył swą mowę odczytaniem ustępów z ,,Przedświtu'' Krasińskiego, ,,Przedświtu,'' który nam lepszą dolę przepowiada, która to przepowiednia dziś już się powoli zamienia w rzeczywistość; pozostaje do życzenia zmartwychwstanie w Chrystusie, zmartwychwstanie moralne, po dokonywającem się zmartwychwstaniu materyalnem.

Na końcu przemówił ks. Proboszcz Domański, witając nowe *Kółko* i przyjmując je pod swą opiekę, życzył mu rozwoju i pożytku i przyrzekł wszelką pomoc ze swej strony, licząc, zapewne, na pomoc ze strony szanownych Pomocników, bez których żadna chęć, ani obietnica salezyańska w czyn zamienić się nie jest w stanie.

Wyście, Szanowni Pomocnicy, opoka, na której buduje się nasz kościół Salezyański wogóle, a szczególnie w Londynie. Prosimy więc, pamiętajcie o nim i o jego Pasterzu, którego adres dla pewności i ułatwienia załączamy:

Rev. G. Domański

Cathlic Polish churh Mercer str. Shandwell

London, E.

MEDYOLAN. — Wizyta i ofiara Królowej-matki. — Włoska królowa matka Małgorzata 28. czerwca zwiedziła salezyański zakład wychowawczy w Medyolanie. Dokonała bardzo dokładnych oględzin

całego urządzenia i robiła trafne uwagi. Wypytywała się pilnie o cały system wychowawczy, przysłuchiwała się deklamacyom i produkcyom muzycznym. W końcu udała się do kaplicy i prosiła



BOLIWIA — Góra Sorata (coys. 4832 m.). Najwyższy punkt drogi.

o błogosławieństwo Przen. Sakramentem. W dowód swego uznania nadesłała nazajutrz Dyrektorowi zakładu przez damę dworu 500 franków wsparcia i wyrazy podzięki za miłe przyjęcie.

LIZBONA. — Zasłużone odznaczenie spotkało twórcę planów zakładu salezyańskiego i kościoła podominikańskiego w Oświęcimiu, p. arch. prof. Maryusza Ceradiniego. Ze względu na wzbogacenie stolicy portugalskiej wspaniałym gmachem wychowawczym, który tam Zgromadzenie wzniosło według jego planów uwzględniających wszystkie wymagania pedagogii, hygieny i dzisiejszego budownictwa, król portugalski nadał mu krzyż kawalerski orderu S. Thiago. Sympatycznemu i genialnemu twórcy wielu kościołów i zakładów zasyłamy najserdeczniejsze gratulacye.

AMERYKA.

MATTO GROSSO (Brazylia). — Kto szerzy cywilizacyę? — Z listu ks. Malana wypisujemy następujące wiadomości... „Na brzegu rzeki Barrejro wioślarze wskazali nam ślady osady indyańskiej, która przed czteru laty była widownią ostatniej walnej bitwy Indyan Bororós z białymi. Hasłem do walki było okrucieństwo, z jakiem w poblizkich osadach dzicy zupełnie wymordowali dwie europejskie rodziny. Biali zorganizowali zbrojną wyprawę na Indyan i znienacka napadli na ich największe obozowisko. Na pierwsze strzały Indyanie wypadli z szałasów i poczęli na wszystkie strony uciekać. Na to właśnie czekali napastnicy, którzy teraz otwarli przyspieszony ogień karabinowy. Zewsząd słyszano okrzyki trwogi, wycie, jęki. Kręte ścieżyny leśne zasłały się trupami. Jeden z wodzów indyańskich, Lulù, który dziś mieszka w osadzie salezyańskiej, chcąc ujść ze życiem, rzucił się do rzeki, pływał 10 minut pod wodą i dopiero w odległości 500 metrów za gwałtownym skrętem rzeki wpadł do gęstego lasu. Jakaś Indyanka spłoszona świstem kul pobiegła do puszczy, ale przypomniała sobie, że pozostawiła w szałasie swoje niemowlę i wróciła do obozowiska zasypanego gradem kul. Dotarła szczęśliwie do namiotu, porwała dziecinę i przycisnąwszy ją do serca, spiesznie poczęła z nią uchodzić do blizkiego lasu. Tylko kilka kroków dzieliło ją od gęstwiny, gdy jękła i padła na ziemię przeszyta kulą i nieżywa. W kilka minut potem cywilizowani napastnicy porąbali w kawałki jej niewinną dziecinę.

Tak było przed 4 laty. Dziś ten sam szczep żyje w przeważnej części w koloniach salezyańskich. Jedna z nich ma już muzykę złożoną w części z dzieci dzikusów poległych w bitwie na brzegu rzeki Barrejro. W Kolonii Najsł. Serca Jezusowego założono niedawno obserwatoryum meteorologiczne a co najważniejsza po raz pierwszy trzech chłopców



BOLIWIA — Na stokach góry Sorata.

indyańskich przystąpiło do Komunii św. — W tej samej puszczy, w której ongi huczały strzały i wrzała zawzięta bitwa pomiędzy dziczą a zdziczałą cywilizacyą, tam dziś słychać kościelny śpiew plemienia, które nauczyło się czcić Boga swego i szanować swą godność ludzką...

Kolonia Niepokalanego Poczęcia. — W dalszym ciągu donoszę, Ci, drogi Ojcze, o urzeczywistnieniu jednego z najgorętszych naszych marzeń — które zapisze się zapewne złotemi głoskami w kronice naszych misyi w Brazylii — mianowicie o otwarciu nowej stacyi misyjnej w tych lasach pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia.

Od dwu lat jeszcze jedna chmura zaciemniała wspaniałe horyzonty cywilizacyi wśród szczepów barbarzyńskich Coroados. Aby tryumf był pełny i trwały, konieczność wymagała jednej jeszcze stacyi misyjnej w punkcie jakim niezbyt odległym od osady Najsł. Serca, w miejscu, gdzieby się najliczniej znalazły rozsiane toldosy Indyan. Tym sposobem cały szczep miał się znaleźć w cieniu Krzyża i w niedalekiej przyszłości przejąć się zasadami cywilizacyi chrześcijańskiej.

Lecz wielkie dzieła wymagają wielkich ofiar, wielkich poświęceń. Nie szczędziło się jednych ani drugich, lecz olbrzymie były trudności i jak stugłowe hydry, po pokonaniu jednych, wyrastały jakby cudem inne, gorsze. Kłopoty o chleb powszedni zaprzątały nam ustawicznie głowę a tu wiadomo, iż do dzikusa nie przystępuj bez gotowych zapasów żywności, a nawet podarków; z drugiej strony był brak absolutny rąk do tej nowej, trudnej, długoletniej pracy. Mimo to, utkwiwszy wzrok w opiekuńczem bóstwie, puściliśmy się na to burzliwe morze, pracowaliśmy i otośmy zwycięsko u celu.

Jak bardzo podobały się Niebu nasze zamysły, poznałem to za ostatniej swojej bytności w Europie, gdzie i personal znalazł się zdolny i ochotny, i środki pieniężne obficie popłynęły. Dzięki Mu za to, jak niemniej Tobie, Ojcze za tak szczere zajęcie się losami naszych prac. Dzięki również wspaniamyślnym Dóbrodziejom dzieł ks. Bosko; wystawili oni sobie swą ofiarnością chlubne świadectwo. Dziś wprawdzie wszelkie zasoby przywiezione pochłonięte zostały przez nędzę szczepu, bieda każdej chwili nam grozi: ale energia i zapał do pracy nie wygasł — padniemy, ale nie opuścimy stanowiska: o innem pomyśli Ojciec niebieski. Myśmy *szczepili i polewali, Bóg niech da pomnożenie...*"

(Z listu ks. Malana z 19. maja 1906).

BOLIWIA. — Z przygód misyonarza. — Ks. Rejneri pisze: „.... Po dwugodzinnej pomyślnej żegłudze prąd uniósł nas na gwałtowne wiry. Łódź pochyliła się gwałtownie. Podpisany wpadł w nurty i w okamgnieniu znalazł się na dnie rzeki. W chwilę potem łódź wywróciła się zupełnie i wszyscy pogrążyli się w groźnych falach. Wioślarze natychmiast ukazali się na powierzchni i wyratowali ks. Santinellego z pod wywróconej łodzi. Tymczasem mnie nie było widać. Ks. Santinelli począł wołać rozpaczliwie: „Wspomożycielko Wiernych, zbaw go! Prędzej, prędzej! szukajcie! ratujcie!" Ja byłem na dnie prawie bezprzytomny i pewny śmierci. Ale biegli wioślarze odszukali mnie i podali mi długie wiosło, którego się instynktownie uczepiłem. Wyciągnięto mnie tak na powierzchnię wody i zaraz uchwyciły mnie silne ręce wioślarzy, którzy mnie złożyli na wywróconą łodkę i przewieźli na brzeg. Ks. Santinelli patrzał na mnie wzrokiem osłupiałym...

... W kilka dni potem wdrapywałem się na górę *Sorata*. Drugą noc spędziłem w opuszczonym szałasie bez dachu, w którym porządnie dały mi się we znaki nizka temperatura, górskie i zimne wiatry a w dodatku brak miejsca. Zmęczony i niezdrów uczułem potrzebę ciepłej strawy. Towarzyszył mi Indyanin, który mnie nie rozumiał. Pomimo gorączki powstałem i przyniosłem wody a Indyanin tymczasem naniósł drzewa i rozniecił ogień, na którym ugotowaliśmy ciepłą strawę z wody i mąki."

(List ks. Rejnerego).

RAWSON (Patagonia Południowa). — Krwawy chrzest misyi. — Pisze ks. Vacchina; „Brat Bonino wyprawił się był z wozem do rzeki, aby zaczerpnąć wody dla potrzeb domowych. Nagle doniesiono mi, że Bonino utonął. Pobiegłem ku rzece. Po obu brzegach stała już cała ludność wpatrzona we wywrócony wóz i tonącego konia. Braciszka nie było widać. Wszelkie poszukiwania były bezskuteczne. Przez sześć dni chodziliśmy smutni po brzegach. Wreszcie po tygodniu dano nam znać, że zwłoki ukazały się na powierzchni wody przy morzu. Wyciągnięto je na brzeg i pochowano uroczyście. Tak odbył się krwawy chrzest naszej misyi w dalekim Chubucie...

Z kroniki szpitala salezyańskiego w Rawson... Gmach wzniesiony został według wszelkich wymagań przez ks. Maryusza Migoniego. Nie brakło chorych od samego dnia otwarcia i to chorych wszelkiego rodzaju i wyznania. Zaraz na wstępie przywieziono młodego Holandczyka, protestanta, który jednak o swej wierze żadnego pojęcia nie miał. Zajął się nim kleryk Cresta i tak go sobie umiał zjednać, że po miesiącu rekonwalescent przyjął chrzest św. i inne sakramenta a dziś jest jednym z najgorliwszych katolików w okolicy.

Zgłosiło się raz dwóch Indyan bardzo niebezpiecznie chorych. Gdy im według indyańskiego podręcznika wydanego przez ks. Milanesio wykładałem katechizm, zauważyłem, że jeden z nich nie może się nacieszyć niezgrabnością, z jaką mówiłem ich językiem. Przekonałem się potem, że jest to Indyanin bardzo zdolny. Od niego dowiedziałem się licznych szczegołów z życia czterech najgłośniejszych bohaterów indyańskich 19go wieku Calfucúra, Namuncurá, Sayhueque i Toyel. Obu ochrzczono.

Raz przysłano Szwajcara. Podróżował sam po stepie i dotarł do lepianki jakichś drabów. Związali go i upoili jakimś trunkiem odurzającym a potem okradli z wszystkiego. Gdy wreszcie odzyskał przy-

tomność i ocenił swą stratę, dostał chwilowego obłędu. Po troskliwej kuracyi wyzdrowiał całkowicie i opowiedział przebieg swego nieszczęścia. Pojechaliśmy natychmiast do rabusiów i zmusiliśmy ich do zwrócenia pieniędzy, których na stepie nie mieli jeszcze czasu wydać.

Jakiś młodzieniec popełnił morderstwo a w więzieniu zachowywał się tak awanturniczo, że stróż dał do niego strzał rewolwerowy, który mu zerwał dolną szczękę i poszarpał język. Cała twarz nabrzmiała ogromnie i pokryła się gnijącą raną. Wyjęto mu kawałkami cały język czarny i zgniły. Trzy razy do dnia odbywa się wstrętne przewijanie. Odżywianie odbywa się w ten sposób, że do przełyku wpuszcza się wąż kauczukowy zakończon u góry lejkiem. — Troskliwa opieka uratowała mu życie i zrobiła go przystępniejszym dla wpływu religii....." (*Z listu ks. Vacchiny z kwietnia 1906*).

PUNTARENAS (nad cieśniną Magellańską) — Zanik Indyan. — ,,... Kacyk Mulato, jeden z ostatnich wodzów Indyan Tehuelches, dawnych wojowniczych mieszkańców Patagonii Południowej, udał się niedawno do Santiago, aby uzyskać od rządu chilijskiego pewien obszar ziemi rolnej i pastwisk. Z powrotem wstąpił do Valparaiso, gdzie grasowała epidemicznie ospa i tam nabyli się wszyscy zabójczej choroby. Wnuczek jego umarł tu w Puntarenas. Rodzina wyruszyła natychmiast na stepy, aby powrócić do opuszczonych szałasów. W rodzinnych stronach zachorował i zmarł sam Mulato. Przestraszona żona uciekła czemprędzej do siedziby swego szczepu, Coyle. Ale nie uszła choroby, która już w niej nurtowała. Przybywszy do współplemieńców zachorowała i zmarła. W kilka dni potem pochowano także jej syna. — Tak w przeciągu dwóch tygodni wyginęła cała rodzina jednego z ostatnich wodzów potężnego niegdyś szczepu Tehuelches..." *(Z listu ks. M. Borgatello)*.

ZIEMIA OGNISTA. — Burza. — " Wsiedliśmy do okrętu, aby się przeprawić do zatoki św. Gabryela. Po 10 kilometrach jazdy zerwał się silny wiatr południowo-wschodni, po którym nastąpiła wielka burza. Mieszkańcy europejskich wybrzeży nie mają pojęcia o burzach wywołanych niestałymi wiatrami przy skalistych brzegach fuegińskich. Niedawno parowiec *Ventura* musiał się pod naporem wiatru cofać od Puntarenas do Punta S. Valentino. Parowiec *Magellanes* podróżował przeszło 5 dni pomiędzy dwoma portami odległymi 7 godzin jazdy. Byliśmy poważnie zagrożeni. Nie widziałem jeszcze w swem życiu tak olbrzymich fal i tak groźnego spotykania się i rozbijania gór wodnych. O godz. 11tej przed południem stało się ciemno jak w nocy. Pewna biedna Indyanka przytuliwszy do piersi niemowlę, spoglądała strwożona to na rozpasane żywioły, to na spokojną twarz dziecięcia i płakała. Obejrzałem się naokoło: jedni drżeli na całem ciele, inni spoglądali na siebie milcząco. Sądząc po ludzku, uważaliśmy się już za nieboszczków.

Pewien stary Indyanin przypomniał sobie dawne zabobony i począł zaklinać bałwany, giestykulując, mrucząc i jęcząc przeciągle. W innych warunkach byłby wywołał śmiechy. Rzekłem mu, aby zaprzestał, ale nie chciał posłuchać i odstąpić od swych dziwacznych egzorcyzmów Wyjąłem różaniec i włożyłem go na szyję. Natychmiast wszyscy poszli za moim przykładem. Wtedy wezwałem ich do ufności w opiekę Wspomożycielki a na słupie żaglowym zawiesiłem medalik. Poczęliśmy odmawiać litanię loretańską. Wicher rozszalał do reszty a bałwany opętała jakaś siła tytaniczna; huk, syk i trzask zagłuszał słowa modlitwy. Ale doszliśmy do wezwania: *Wspomożycielko Wiernych* i stała się rzecz dziwna. Wszyscy byliśmy świadkami, jak wiatr ustał niemal nagle, bałwany rozpłynęły się a na morzu zapanowała cisza. Po trzech godzinach jazdy byliśmy u celu..." *(Z listu ks. Piotra Rossiego)*.



Pierwsi Polacy rzuceni losem na Pampa-Central, Argentyna i zaopatrzeni w ziemie w nader przystępnej cenie przez Misyonarza. X. St. Cynalewskiego.

Misya Polska w Londynie złączyła wczoraj (27go maja) swoje pienia dziękczynne i błagalne ku Maryi z chórem Domów Salezyańskich w Polsce, wołając najprzód:

,,Gwiazdo śliczna, wspaniała,
,,Częstochowska Marya,
,,Do Ciebie się uciekamy,
,,O Marya, Marya!"

Zaś kończąc:

,,O Marya, Marya!
,,Nasza Pomoc jedyna,
,,Przyjmij nasze śpiewanie,
,,O Marya, Marya!"

I tak — od pieśni ku Matce Najśw. rozpoczęła się wczorajsza niedziela w naszym kościele, i na

pieśni ku Niej się zakończyła w salce (przeznaczonej na rozrywki) na małem, dziecinnem przedstawieniu amatorskiem, połączonem z powinszowaniem i życzeniami dla Przełożonego domu, ks. Grzegorza Domańskiego, którego Patron wprawdzie dwa dni przedtem przypadał, lecz obchód jego święta do niedzieli został odłożonym ze względu na większość naszej publiczności, która w powszedni dzień pracą zajęta przybyć by nie mogła.

Dzień wczorajszy zapisał się innym jeszcze wypadkiem pamiętnym w dziejach naszej misyi, mianowicie pierwszą konferencyą zawiązanego niedawno między londyńskimi Polakami Związku naszych Pomocników, do którego kółko naszych najbliższych przyjaciół chętnie przystąpiło. Jeden z owych przyjaciół — Pomocników wystąpił z serdecznym wierszykiem własnej kompozycyi, także z imieniem Maryi na ustach, wołając:

,,I tyś, nasz Ojcze, rozpoczął dzieło
,,Na niwie bardzo piasczystej,
,,Lecz ufaj w Bogu, postępuj śmiało
,,Z imieniem Maryi Przeczystej.

Ufamy też Bogu że może ta ,,niwa piaszczysta'' wyda z siebie ,,złoto,'' bo podobno w Kalifornii tak bywa, a Londyn i Kalifornia to dalekie od siebie przestrzenią, ale blizkie bogactwem miejscowości. Tylko że złota materyalnego, którem Londyn słynie, nam biednym Polakom zbyt wiele się nie dostaje i w poszukiwaniu go większość naszych ziomków udaje się do Ameryki; tu pozostaje garstka zrezygnowanych lub podeszłych w latach i obarczonych liczną rodziną biedaków.

Stąd wielka potrzeba starania się o pomoc w podtrzymaniu kościoła polskiego w Londynie, poza Londynem, w kraju i w Ameryce, tem bardziej że, jak wspominaliśmy w grudniu zeszłego roku, przy objęciu nowego kościołka dług około 10.000 marek od razu nad nim jak ciemna chmura zawisnął, do której to chmury przyłączyły się następnie małe obłoczki w postaci rachunków za odnowienie gmachu. Wprawdzie lekkie odbłyski słoneczne ponurą postać rzeczy niekiedy oświetlają, ale groźby burzy całkiem nie usunęły. Prosimy Szanownych Czytelników *Wiadomości*, by raczyli pamiętać o duchownych potrzebach wygnańców-emigrantów w Londynie i o ich pokornym Pasterzu, którego obecny adres brzmi tak:

Rew. G. Domański,
Cathol. Polish Church
Mercer Str. Stradwell
London E.





POMIĘDZY KIWAROSAMI EKWATORU

Delikatność uczuć u Kiwarosa,

Nadbiegł młody Maryan Katipi i przywitawszy się uprzejmie z biskupem, zwrócił się do O. Kiwaro, którego dotąd nie znał, i zapytał:

— Jak się masz?

— Dobrze! — a ty dlaczegoś taki smutny.

— Ah! gdybyś ty wiedział, co mi się przydarzyło! — lecz najprzód powiedz: jak się nazywasz?

— Na imię mi Feliks.

— Helis — hales — hares — powtarzał biedak, aby sobie nie zapomnieć.

— Tak, zupełnie tak: wszystko to jedno czy Hares czy Feliks.

— Skąd pochodzisz?

— Z krainy bardzo dalekiej ale bardzo pięknej, zwanej Italia.

— Itarra? Nie jesteś więc Kiwarosem? albo czyż są Kiwarosowie i w innych krajach?

— Owszem że są — a jest ich tylu, że nie pomieściliby się we wszystkich lasach Ameryki.

Cóż znowu? Nantipa zbladł jak chusta, a Katipi wytrzeszczył oczy, rozwarł szeroko usta i postąpił krok w tył. Jakaż przyczyna takiego wrażenia na wiadomość, iż istnieją jeszcze gdzieindziej Kiwarosowie? Po chwili Nantipa nie chcąc po sobie nic pokazać, zmusił usta do uśmiechu i rzekł;

— Lecz zapewne są innej barwy?

— Masz zupełną słuszność: nie są oni czerwoni jak wy.

— I nie noszą dzidy ani łuków — dodał z weselszą już miną waleczny filozof.

— Oni? Nie umieją się z temi rzeczami obchodzić! A gdyby zresztą i umieli, wyście dzielni wojownicy i nie boicie się nikogo.

— Dobrze mówisz, dokończył Katipi, i zupełnie już uspokojony, że mu ze strony drugich braci Kiwarosów nic nie grozi, dodał:

— Ile masz lat?

— Trzydzieści jeden. — A ty?

— Ja ich mam tyle... i zamiast powiedzieć wprost liczbę, do jakiej zapewne nie dochodziła

rachuba jego szczepu, pokazał palce obu rąk, następnie zliczył je u nóg prócz jednego, potem ciągnął dalej:

— Masz jeszcze ojca i matkę?

— Nie mam. Pomarli.

— Skoro tak, tośmy podobni do siebie — rzekł dzikus z wyrazem najczulszej tkliwości. Widzisz te oto czarne prążki na moich piersiach i mojej twarzy? widzisz również, iż nie noszę włosów związanych wstążką, ani zatkniętych w nie piór; a choć inni noszą długie drewienka w uszach, ja nawet krótkich, właściwych niewiastom nie noszę. Z tego musisz poznać, iż spotkało mnie wielkie nieszczęście: parę dni dopiero temu, jak zmarła moja droga matka. Dlatego też postanowiłem pójść gdzie daleko daleko, gdzieby mnie żal nie dosięgnął.

— Biedny mój chłopcze! — rzekł na to zozczulony misyonarz, kładąc mu poufnie rękę na głowę. Czy nie chciałbyś zostać z *Aparu Obispo*, nauczyć się wiary katolickiej i w niej szukać pociechy?

— Nie, mój kochany; tutaj dalej żyć nie mogę. Tutaj każda rzecz przywodzi mi żywo na pamięć moją drogą matkę. Gdy rankiem się obudzę i widzę niewiasty krzątające się po domu z *piningami* dymiącej *cicci*, serce moje szuka pośród nich drogie rodzicielki, która własnoręcznie mię poiła i we własnych ustach przyrządzała napój. Gdy strudzony powracam wieczorem z polowania, i nie nam komu dać zwierzyny, by mi ja ugotował, serce mi się kraje z bólu. Gdy słońce znika za zrębem góry, widzę ją zamykającą po raz ostatni bladą źrenicę: a ilekroć spojrzę na jej posłanie próżne i zaniedbane, siadam w kącie wigwanu i płaczę. — Prócz tego musisz wiedzieć, iż mam nieprzyjaciela, który mnie srodze nienawidzi. Ów młodzieniec, który odszedł stąd za mojem przybyciem, jest to syn starego kapitana, z którym mój ojciec żył dłuższy czas w niezgodzie; pomiędzy nami zaś jest prawem, iż syn powinien dokonać zemsty za swego ojca. Ciguni jest silny, ma wielu przyjaciół: ja nie mam nikogo.

Pocieszał go O. Kiwaro jak mógł i starał się nakłonić do pozostania, ale napróżno. Proposił tedy Nantipę, aby on to uczynił, gdyż zdawało się, iż wywiera on jakiś wpływ na chłopca. Zajęli zaraz postawy oratorskie: jedna ręka przytknięta do ust, w drugiej oszczep, i zawiązała się rozprawa długa, ożywiona, z której moich uszu niewprawionych jeszcze we wszystkie tajemnice ich mowy dochodziły od czasu do czasu tylko urywane *tak, nie, dobrze, ale* — śliny zaś leciało na wszystkie strony tyle rzutów, ile słów.

Stanęło wreszcie na tem, iż Katipi wyjedzie na piętnaście dni, po których ma wrócić do misyi. Postawił atoli jeden warunek

— A więc zgoda — rzekł najprzód do O. Kiwaro, a potem do ks. biskupa, jakby chciał od obu uzyskać potwierdzenie obietnicy — powrócę i to prędko, bo sobie tego życzycie. Lecz zato wy musicie mi dopomódz w pewnej sprawie, która mi bardzo leży na sercu. Ja pozostałem na świecie samotny, jak ptaszę po burzy, a samemu mi smutno. Kapitan Kajapa ma siostrę, o której rękę kilkakrotnie go już prosiłem: on atoli zawsze mi odmówił, ponieważ mi nie ufa. Tym sposobem ja zostałbym sam na ziemi; sam, jak ziarnko kukurudzy, porzucone na drodze, i nie miałbym, ktoby zemną dzielił troski i bóle.

Gdy to mówił rozpromieniły mu się policzki a w oczach zabłysły dwie duże łzy. Biskup ujął go poufale za ręce i zapewnił w czułych wyrazach o swej pomocy, przyrzekając wstawić się za nim u kapitana. Młodzian mówił dalej:

— Kajapa ma mnie za próżniaka, który cały dzień chce leżeć na *peace*, zwalając na żonę cały ciężar pracy koło roli i domu, jak to czynią po większej części Kiwarosowie. Lecz na prochy mej matki zapewniam cię, *Aparu*, że mam moje *aha* (pole) obsiane, mam banany, jukę, ciontę, mam wieprzaków na kilka lat. *Kati* zbierałaby tylko i zwoziła do domu a jabym po całych dniach chodził po lesie za niedźwiedziami, małpami, dzikami, armadillami i ptactwem. Owszem: wystawię sobie dom w blizkiem sąsiedztwie kapitana i co rok będę mu pomagał uprawiać jego pole. A żebyś czasem, ojcze, nie myślał, iż kłamię albo przesadzam, niech Nantipa ręczy za mnie.

Ten powstał bezzwłocznie i wyprostowawszy się, rzekł:

— Adkijata! — Wszystko uczynisz.

— A gdybym miał nie dotrzymać obietnicy, niechby porwał *Iguanci* mój dom, moje pole, moje wieprze i mnie samego.

— Nie masz się obawiać Iguanci, ale wielkiego *Yusa* (Boga) — przerwał mu ks. biskup.

— Ja nie boję się *Yusy* gdyż on jest dobry, jak powiadał O. Franciszek. Zato obawiam się Iguanci, który jest złośliwy i nienawidzi Kiwarosów.

— Ale odkąd zostałeś przyjacielem Yusy, Iguanci nic przeciw tobie nie może.

— To daj mi błogosławieństwo, Apari, aby Yusa mi sprzyjał a Iguanci nie mógł mi szkodzić w czasie podróży.



ŁASKI
Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

W ciężkim znajdowałam się kłopocie i zmartwieniu, a nie mając znikąd pomocy i pociechy, udałam się z całem zaufaniem do tej Matki Pocieszycielki i Wspomożenia Wiernych, odprawiając na Jej cześć nowenny i przyrzekając, gdy mnie pocieszy, podać do Wiadomości Salezyańskich. W istocie, Matka cudowna mnie wysłuchała. Przejęta więc wdzięcznością ku tej Opiekunce sierot, wywiązuję się z danego przyrzeczenia, posyłając zarazem mały datek na Mszę św. dziękczynną, z prośbą o dalszą opiekę w mem smutnem życiu. Dzięki więc pokorne składam N. Sercu P. Jezusa i Matce Wspomożeniu Wiernych.

Poznań.

A. W.

***

Najpokorniejsze dziękczynienia składam Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najsw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernich, za przywrócenie mnie i mego syna do zupełnego zdrowia. Nie mając słów do wyrażenia wdzięczności Najsw. Maryi Pannie za doznane łaski, przysyłam skromną ofiarę 15. marek na Mszę św. i na cele salezyańskie i proszę o umieszczenie tego we Wiadomościach Salezyańskich.

Koletcowo, dnia 22-5-906.

MARYANNA SIKORSKA.

***

W dniu 30. czerwca nasz syn zdawał wstępny egzamin do gimnazyum; aby mógł pomyślnie zdać, udałam się z gorącą modlitwą przed obraz Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych — ofiarując go, aby Matka Najświętsza raczyła mu dopomódz, i oto syn pomyślnie egzamin zdał.

Ja zaś przyrzekłam, że jeżeli Matka Najswiętsza wysłuchać raczy mą błagalną modlitwę, złożę ofiarę 2 korony na podziękowanie za łaski. Otóż przesyłam osobnym przekazem 2 korony, i upraszam o odprawienie Mszy św. na intencyę, o dalszą pamięć i chęć do nauki memu synowi Leopoldowi Rytko. Również upraszam niniejszą podziękę Najświętszej Maryi Pannie Wspomożenie Wiernych umieścić publicznie we Wiadomościach Salezyańskich.

Przejęta wdzięcznością ku tejże Matce Najświętszej, za okazaną mi dobroć, składam Jej niniejszem najserdeczniejsze podziękowanie, i polecam się Jej dalszej opiece.

Stary Sącz (Galicya), 2-7-1906.

LUDWIK FR. I ANNA RYTKOWIE
Organista Farny.

***

Dotrzymując danego słowa, składam Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najswiętszej Pannie Maryi Wspomożycielce Wiernych publiczne dziękczynienie za wyzdrowienie mego synka z bardzo ciężkiej choroby. Posyłając skromną ofiarę przekazem pocztowym na mszę dziękczynną, proszę przytem Najświętszą Pannę Maryę o inne łaski i polecam dziatki swoje i siebie samą Jej dalszej opiece.

Głęboczek (Galicya).

J. SNITOWSKA.

***

Od paru lat cierpiałam na nogę, a żadne lekarstwa nic nie pomogały. Nie więdząc innej rady uciekłam się do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych, obiecując, jeżeli Najświętsza Panna wysłucha niegodnych próśb moich, ogłosić publicznie we Wiadomościach Salezyańskich. I Matka Najświętsza wyjednała mi łas.ę u Swego Syna. Po odprawieniu nowenny

do Niej, noga moja zaczęła się goić i wkrótce zupełnie się zagoiła; za co Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie składam najserdeczniejsze podziękowanie, prosząc, by Najświętsza Panna miała nas nadal w swej opiece i zasyłam 6 marek na Mszę św.

Kurnik (Wielkie Księstwo Poznańskie), d. 24-6-06.

HELENA MAJCHRZYCKA.

* * *

Ja niżej podpisana, wywięzując się z danego przyrzeczenia, składam niniejszem publiczne podziękowanie Matce Boskiej Wspomożeniu Wiernych i Najsłodszemu Sercu P. Jezusa za uleczenie mnie z długotrwałej a niebezpiecznej choroby. Opieka Matki Najświętszej okazała się w niej tak widoczną, że chociaż czuję się niegodną Jej łaski i miłosierdzia, jednakowóż uważam za święty obowiązek wdzięcznem sercem złożyć Tej cudownej opiekunce moje podziękowanie za okazaną nademną łaskę i opiekę, a tem samem zachęcić gorąco każdego dotkniętego nieszczęściem, aby z ufnością i szczerą wiarą udawał się do Tej jedynej naszej niebieskiej lekarki chorych, Maryi Wspomożycielki.

Otóż przeszło od dwóch lat cierpiałam wielkie boleści cielesne, a z każdym dniem czułam i widocznem było, iż stan mego zdrowia pogorsza się, opuchlina ogarnęła mię całą: na twarzy okropnie zapuchłam, oczy przez to zapadły. Ręce opuchły, tak, iż w nich nic utrzymać nie mogłam; paznokcie u rąk mię bardzo urażały, gdy się dotknęłam jakiegokolwiek przedmiotu.

Do tego odczuwałam wielkie kłucie w bokach. Nie miałam żadnego apetytu, tak iż z sił zupełnie opadłam, zostałam niejako bezwładną. Jak tę chorobę nazwać? Sama nie wiem. Doktora nie przywoływano do mnie z powodu, iż u nas takowych brak pod ręką; do tego na doktora tu w Brazylii nie każdego stać.

Natomiast zużytkonałam wiele różnych lekarstw, kto tylko co doradził, wszystko robiono; a jednak wszystko okazywało się bezskutecznem; te wszystkie używane lekarstwa i zioła podcinały siły zdrowia mego.

Lecz od dłuższego czasu czytałam pisemka miesięczne p. t. ,,Wiadomości Salezyańskie'' i w tychże wyczytałam różne listy, w których ludzie dziękowali Najświętszej Maryi Pannie za wysłuchanie ich prośby w rozmaitych wypadkach, nieszczęściach i chorobach. Tak i ja na podstawie tylu już wysłuchanych próśb, zwróciłam się z prośbą do Najsw. Maryi Panny o uleczenie mnie z tejże choroby. Przyrzekłam Jej, iż skoro zostaną wyzłuchane me prośby, to złożę w ,,Wiadomościach Salezyańskich'' publiczne podziękowanie. Zwróciłam się również z prośbą do Najprzewielebniejszego ks. M. Rua o odprawienie na moją intencyę Mszy św. błagalnej przed obrazem Wspomożycielki Wiernych, i by raczył ze swymi wychowankami odprawić nowennę na moją intencyę. Złożywszy skromną ofiarę, zaraz od tegóż dnia 6. marca 1906 postanowiłam odprawiać nowennę do Tej, która nikogo nie opuszcza i nikim nie gardzi, jedną po drugiej, aż otrzymam odpowiedź z zakładu Salezyańskiego. A gdy otrzymałam list od Przewielebnego ks. Rua dnia 20. maja r. 1906., to już byłam i jestem zupełnie zdrowa. Po odprawieniu 1-ej nowenny przezemnie nie uczułam polepszenia. Kiedy odprawioną bywała od dnia 21-go kwietnia nowenna przez dziatwę Salezyańską, to codzień czułam polepszenie A kiedy zapoczęto odprawiać dnia 10-go maja drugą nowennę na moją intencyę, to w ten dzień zostałam zupełnie jakby inną . . . Wszystkie dotychczasowe dolegliwości opuściły mię zupełnie. Jestem zupełnie uzdrowiona i zdrowa.

O rodzinie Salezyańskiej nigdy mi zapomnę i wdzięczną jej pozoztanę; z niniejszem składam na Mszę św. dziękczynną 7 franków.

KS. KOWALSKA KOL. CANOAS.

* * *

Przed dwoma laty wytoczono mi przez fiskus proces, który trwał przeszło półtora roku o kawałek gruntu, chcąc mi go niesprawiedliwie odebrać. Przeciw mnie było pięciu królewskich urzędowych świadków. Mijał jeden termin po drugim a w naszem mieście, kto mię tylko spotkał, mówił mi, że nie słychano jeszcze, aby kto z regentem proces wygrał. Ja w tak wielkich smutkach i kłopotach, nie mając innej rady i pociechy, modliłem się gorąco do Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych, aby raczyła mnie niegodnego grzesznika pocieszyć i w ostatnim terminie stać się moją adwokatką, obiecując ku większej Jej czci i chwale ogłosić w Wiadomościach, jeżeli zostanę wysłuchanym. Otóż dziś mogę twierdzić, że Marya cud mi uczyniła, albowiem cała sprawa tak pomyślnie dla mnie wynikła, że sam się wydziwić nie

mogę. Wywięzując się zatem z przyrzeczonej obietnicy, ze szczerej wdzięczności składam publiczne dzięki Maryi Wspomożeniu Wiernych za łaskę i posyłam tę skromną ofiarę (10 marek) na Mszę św. dziękczynną i na cele Salezyanskie.

Skoki (Wielkie Księstwo Poznańskie) d. 23-6-06.

ROMAN KRASZEWSKI.

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

A. J. B. Pleszewo *(Wielkie Ks. Poznańskie)*; N. N. z Rawy ruskiej (*Galicya*) za łaskę przywrócenia zdrowia choremu bratu; S. D. z Woszowska *(Górny Śląsk)*; Paweł i Julia Bujarowie z Wielowsi *(W. Ks. Poznańskie)* za przywrócenie mężowi zdrowia; M. Aleksander z Trzetrzewina (*Galicya*), za szczęśliwe przejście operacyi odzyskanie zdrowia i inne łaski; S. Marya Olga Bodyńska z S. Paulo *(Stany Zjednoczone)*; Felix Jurecki z Grojca (*Galicya*); Jan Pawłowski z Goślinowa *(W. Ks. Poznańskie)*; Anna Szłapińska z Witołdowa I (*Wielkie Księstwo Poznańskie*) dziękuje za przywrócenie zdrowia i zachęca wszystkich, by się w potrzebach do Maryi W. W. uciekali. Maciej Żelazny z Siarczanej góry *(Galicya)* za paręrazowe uzdrowienie córeczki z ciężkiej choroby; J. F. z Jarosławia (*Galicya*) za szczęśliwe przeniesienie choroby wielkiego bicia serca. Wincentyna Wnękowska z Dęba *(Galicya)*; za uzdrowienie dziecka z choroby. O. K.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*





ŻYWOT
X. BISKUPA ALOJZEGO LASAGNI
MISYONARZA SALEZYAŃSKIEGO

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XXXIII.

Wytrwałość Apostolska. — Siostry M. B. Wspomożenia w Brazylii. — Obietnica warunkowa. — Ojcowskie troski. — Struna zanadto naciągnięta. — Kłopoty finansowe. — Siła duszy. — Palec Boży — Kongres i Krucyata.

Jako prawdziwy misyonarz katolicki i godny syn ks. Bosko, ks. Lasagna nie miał zwyczaju oglądać się poza siebie aby obliczyć, co już zdziałał, ale patrzał ciągle przed siebie, badając co do zrobienia pozostało. Wtedy nawet gdy się czuł bardzo znużonym i gdy ciężar niezliczonych zajęć i obowiązków wyczerpywał jego siły, nigdy nie powiedział sobie: ,,Już dosyć.'' Nie miał nigdy — pisze Senator Franciszek Bauza z Montevideo — mniej, jak dziesięć lub dwanaście planów w głowie równocześnie, a wszystkie bardzo ważne. Jednego było za mało dla tej duszy całkiem oddanej na usługi bliźnich i zagrzanej apostolską żarliwością. I tak, gdy rzucił podwaliny Oratoryów w Nichteroy, w San Paolo i w Lorenie w Brazylii, gdy skupił pod swoje ojcowskie skrzydła niezliczony zastęp młodych chłopaczków, spoglądał ze smutkiem dokoła siebie, jak gdyby nic jeszcze w tym kraju nie był zdziałał. Dopóki wychowanie dziewcząt nie było w ten sam sposób zabezpieczone, zdawało mu się, że nic jeszcze nie jest zrobione. Badania jego naukowe, zarówno jak doświadczenie w zawodzie nauczycielskim przekonały go, że, aby utrwalić owoce prac apostolskich, trzeba przedewszystkiem wychować kobietę; na niej bowiem głównie opiera się życie chrześcijańskie rodziny. Zasady wiary zaczerpnięte na kolanach matki, najgłębiej wkorzeniają się w sercu; natomiast z bólem wyznać trzeba, że nauki religijne, wykłady katechizmu, kazania mało lub wcale żadnego wpływu nie wywierają na tych biednych dzieciach, które nie słyszały imienia Boga z ust matki i nie nauczyły się od niej pierwszych prawd wiary. Ks. Lasagna był też mocno przekonany, że powinnością jego jest nie zaniedbać żadnych usiłowań, aby dać społeczeństwu matki rodziny, szczere chrześcijanki.

Pracował nad tem gorliwie w Uraguaju, a obecnie gorącem jego pragnieniem było osiedlić w Brazylii Siostry M. B. Wspomożenia. 14go marca 1892 mógł nareszcie to pragnienie urzeczywistnić, tego dnia bowiem posłał Brazylijczykom te anioły miłosierdzia, jakimi są Zakonnice Salezyanki. Zrazu miały one wykładać nauki w szkółkach; a później, gdy chwila właściwa nadejdzie, rozpocząć pracę apostolską wsród dzikich plemion, ucząc kobiety i dziewczęta katechizmu i przygotowując je do Sakramentów św.

9go kwietnia Siostry M. B. Wspomożenia przybyły do Lorena, w stanie S. Paolo, gdzie przyjęte zostały z najżywszą radością i natychmiast wprowadzone do domu przygotowanego dla nich hojną ofiarnością hr. Moreira Lima. Inne grono siedmiu zakonnic, z których sześć wyszło z nowicyatu, założonego przed kilkoma laty przez samegoż ks. Lasagnę, osiedliło się w Guaratingueta w pobliżu San Paolo, w dużym zakładzie zbudowanym przez gorliwego kapłana Mons. Filippo. Przełożoną była tu ta sama Siostra Teresa Rinaldi, która kilka lat później straciła życie w pamiętnej katastrofie pod Juiz de Fora. Nakoniec, trzeci przytułek dla ubogich dziewcząt otwarty został 24go kwietnia w Tindadamonhagaba. Jakże olbrzymimi krokami postępowało w Brazylii dzieło szlachetnego misyonarza! Znaleźli się tacy, a było ich nawet wielu, którzy go obwiniali o zbytnią śmiałość, kuszenie Opatrzności; tym nieproszonym sędziom odpowiadał słowami swego mistrza, ks. Bosko: ,,Chętnie zatrzymałbym się, przestałbym tworzyć Oratorya, Zakłady, byleby tylko szatan przestał pracować nad zgubą dusz.'' A gdy brakło mu środków pieniężnych lub ludzi dla doprowadzenia do celu tego lub owego dzieła, nie zatrzymywał się, zostawała mu wiara w Opatrzność i zdolność, jakiemi go Bóg udarował; to mu wystarczało.

Gdy się to działo w Brazylii, ks. Lasagna, który nie mógł osobiście brać udziału w tych trzech fundacyach, pozostał w Montewideo w wielkim niepokoju i pisał następujące słowa do ks. Peretto, przełożonego domu w Lorena:

,,Nie otrzymałem dotąd wiadomości o przybyciu Sióstr i naszych współbraci i niespokojnie ich wyglądam. Spodziewajmy się, że wszystko pomyślnie się odbyło. Dziękujmy Bogu, który pozwolił nam tę wyprawę wysłać! Czy Siostry już się osiedliły w Lorena? Jak się miewają? Czy dobrze zostały przyjęte w Guaratingueta i nie miały jakich trudności?''

A skoro się dowiedział, że wszystko odbyło się nad podziw dobrze, wyrwał mu się z serca ten okrzyk, który znajdujemy w liście do tegoż dyrektora Peretto: ,,Niech Pan będzie błogosławiony i pochwalony za opiekę, jaką otacza nasze prace w Brazylii! Biedne, kochane Siostry w jakichże znajdują się opałach! Przytłoczone kwiatami, pochwałami, powinszowaniami! Niechże je Pan Bóg wspiera!'' Piękne słowa, które pokazują, jak właściwą miarą oceniał światowe zaszczyty.

Ciernie jednak rosły obok kwiatów na drodze ks. Lasagni. Mimo że wyglądał czerstwo, co było następstwem zbyt krwistego temperamentu, jednakże zbyteczne trudy, a więcej jeszcze ciężkie próby, któremi Bóg doświadczał jego cnoty, odbijały się na jego zdrowiu. Dawne bóle reumatyczne nie przestawały go trapić; mimo to nie chciał dotąd przerwać swych prac, podróży, kazań i zarządu licznych Oratoryów. W końcu jednak musiał uledz i 30go kwietnia pisał do ks. Peretto:

,,Jestem ciągle chory i dnie spędzam na łóżku lub na kanapie. Nie mogę ustać na nogach i piszę leżący. Gdybym mógł przynajmniej jechać do Lorena! Nie byłbym w stanie pracować, ale widziałbym was, mówiłbym z Wami i pomagałbym Wam w miarę swych słabych sił.''

Na domiar nieszczęścia nie tylko fizyczne cierpienia miał do znoszenia, ale na każdym kroku spotykał niesłychane trudności w prowadzeniu rozpoczętych dzieł. Wypadki polityczne, które się rozgrywały w tym czasie w Uraguaju i w Brazylii, sparaliżowały energię znacznej części Pomocników i powstrzymały hojność wielu dobrodziei. Niektóre komitety, opiekujące się dziełami salezyańskiemi, rozwiązały się, a wielu, gorliwych w pierwszej chwili, przyjaciół, przerażonych myślą o wielkich długach, które ciężyły na Oratoryach Salezyańskich i o nieuniknionem, wedle nich, bankructwie ks. Lasagni, usunęło się z obawy aby w tem nieszczęściu nie przepadł majątek ich i ich dzieci. Dodajmy do tego wielki brak współpracowników i ubytek ich przez śmierć jednych, a brak, niestety, wytrwałości u drugich, — a będziemy mieć pojęcie o cierpieniach moralnych, które dręczyły walecznego misyonarza. Mimo to wszystko, pogoda nie znikła z jego oblicza; szedł naprzód, zawsze równym krokiem, bo Pan Bóg, wystawiając go na te ciężkie próby, obdarzył go zarazem energią potrzebną, by walczyć i zwyciężać. To też, złożywszy w Bogu całą swą ufność,

śmiało stanął do walki i zwycięstwo odniósł, według tych słów Pisma św.: *Certamen forte dedit illi, ut vinceret;* ufność i wytrwałość, to cała treść tego pięknego żywota. Wszystkie trudności pieniężne i moralne nużyły go wprawdzie, — ale dusza jego, zahartowana w cnocie, opierała się mężnie i na zewnątrz nie okazywała najmniejszego pomieszania. Jeżeli dziś możemy mieć miarę jego tajemnych udręczeń, zawdzięczamy to listom, które pisywał do swych braci zakonnych, wylewając w nich troski swego serca i błagając o pomoc ich modłów, w wyrazach, w których się mimowoli przebija ból, jaki go uciskał. Jednemu z braci, który się szczególniej trapił wzrastającą ciągle cyfrą długów, odpisał te proste słowa: ,,Co do długów, nie lękam się niczego; módlcie się tylko i proście drugich o modlitwy.'' Inną razą, wspominając o zawodzie doznanym od kilku osób, które obawiały się bankructwa, pisze: ,,Nie ustawajcie w modlitwach do M. B. Wspomożenia, aby nas wyprowadziła z tego ciężkiego położenia, bez wstydu i bez zachwiania się Dzieła, które nam Bóg powierzył.''

Do innych osób pisze w tej samej sprawie: ,,Dręczy nas tu bardzo stan naszych interesów. Długi grożą nam zupełnem pochłonięciem. Niech Pan za wszystko będzie pochwalony. Módlcie się za nami!'' Jaka wiara i jaka rezygnacya w tych ciężkich chwilach, gdy się zdawało, że cała jego praca pójdzie na marne. ,,Bóg, który wszystko widzi i wszystkiem kieruje'' — wołał mężnie — ,,umyślnie tak rzeczy poprowadził, dla większego dobra tych Zakładów.'' Z jakiemże zbudowaniem czyta się te listy i wiele innych podobnych, gdzie wiara, rezygnacya i miłość Boga tryskają z pod jego pióra! Dowodzą one zarówno wielkości jego ducha, jak głębokiej umiejętności i doświadczenia w kierownictwie dusz, wsród najcięższych przeciwności, po drodze doskonałości chrześcijańskiej.

Wśród tych nieszczęść, błysnął mu niespodzianie promień pociechy; był nim list od następcy ks. Bosko, wzywający go, by przybył do Turynu z jednym z dyrektorów swego Inspektoratu. Pierwszą myślą ks. Lasagni było, że powodem tej podróży jest ogólny zjazd Przełożonych Salezyańskich; ale w widokach Opatrzności miała ona jeszcze cel inny. Myśl o oderwaniu się na jakiś czas od pola swej pracy, o przymusowym wypoczynku w czasie podróży przez Ocean, a przedewszystkiem o nadziei powierzenia swych trosk swemu Przełożonemu, ożywiła jego energię; niebawem też uczuł się jeżeli nie uleczonym, to fizycznie i moralnie wzmocnionym. Uwiadomił natychmiast wszystkich o swej blizkiej podróży do Włoch, a niektórzy z Pomocników, pragnąc mu zapewnić całkowity spokój na tę daleką drogę, otworzyli mu hojnie swą dobroczynną dłoń. Tak Opatrzność, która jak troskliwa matka czuwa nad tymi, co się do niej uciekają, przyszła niespodziewanie w pomoc ks. Lasagni i jego dziełom. Tak więc przyszły biskup dzikich plemion Ameryki, tajemniczo prowadzony ręką Bocą, puścił się w towarzystwie ks. Peretto, przełożonego domu w Lorena, na Ocean, po raz trzeci zdążając do swej pieknej i ukochanej Ojczyzny.

13go sierpnia wysiadał na ląd w Genui, a nazajutrz był radośnie witany w Oratoryum Turyńskiem.

Zaledwie zdążył powitać swych Przełożonych, skierował swe kroki ku Valsalice, aby złożyć hołd swych modłów i łez na grobie ukochanego Ojca, którego rękę szlachetną i dobroczynną byłby tak pragnął by módz ucałować i usłyszeć ten głos, który go tyle razy pocieszał i umacniał. Powstał ożywiony nową gorliwością, jak wtedy gdy opuszczał pokój ks. Bosko, po serdecznych rozmowach i wylaniach czułości.

Tegoż roku 1892, Włochy obchodziły uroczyście czterechsetną rocznicę odkrycia Ameryki przez Kolumba. Miasto Genua, szczycące się słusznie tem, że było ojczyzną tego śmiałego żeglarza, otwarło pod jego imieniem wspaniałą wystawę; a katolicy włoscy, którzy, według słów Leona XIII, mieli prawo uważać go za jednego ze swoich, (,,Columbus noster est'') skorzystali z tej sposobności, aby przedstawić owoce cywilizacyjnych prac misyonarzy na obu lądach Ameryki. Między innymi Salezyanie wystawili bardzo zajmujące naśladowanie wioski Patagończyków, oraz mieszkańców Ziemi Ognistej. Ks. Lasagna, misyonarz całą duszą, cieszył się, że jego współrodacy wychwalali tego Kolumba, który, jak mówi Leon XIII w swojej znakomitej Encyklice: *Quarto abeunte saeculo*, ,,przebywając niezmierzone przestrzenie Oceanu ,,miał pred sobą cel wyższy niż inni żeglarze, bo ,,pragnął zanieść tym dalekim krajom światło ,,Ewangelii.'' Ks. Lasagna mógł również twierdzić o sobie, że nie żądza zbogacenia się, nie *Auri sacra fames* ciągnęła go w te odległe strony, ale miłość Chrystusowa. Szczycił się tem, że go Pan powołał, aby te same ziemie uprawiał i polewał je swym potem, a gdyby taka była

wola Boska, także swą krwią; i dziękował za łaskę, że może należeć do tego Zgromadzenia Salezyańskiego, którego misye prowadzą dalej dzieło rozpoczęte przez Krzysztofa Kolumba, szerząc Królestwo Chrystusowe w tych dzikich krainach.

To też, zaledwie prezydyum ,,Dzieła Kongresów i Komitetów katolickich'' we Włoszech postanowiło, że dla uczczenia bohatera chrześcijańskiego, który pierwszy zaniósł godło Zbawienia, Krzyż święty, na wybrzeża Nowego Lądu, — ma się odbyć w tym roku jeden z uroczystych kongresów, które taki popęd nadają propagandzie katolickiej, ks. Lasagna przyłączył się co rychlej do biskupa Cagliero, godnego przedstawiciela Salezyanów na Katolickim Kongresie Genueńskim, ciesząc się, że może pracować wspólnie z tylu znakomitemi osobami. Akta Kongresu tego nie wspominają wprawdzie, aby nasz misyonarz na nim publicznie przemawiał; ale szczęśliwym czuł się słuchając tylu czcigodnych biskupów i gorliwych świeckich katolików i biorąc udział w obradach. To też pisząc do jednego ze swych przyjaciół misyonarzy, powiada: ,,Kongres trzyma mnie przykutym od rana do nocy.''

Opuścił Genuę, przejęty coraz głębiej swem powołaniem apostolskiem, z postanowieniem pracowania coraz gorliwiej nad zbawieniem dusz. Postanowienie to raraz w czyn wprowadził, przedsiębiorąc na korzyść swych misyi prawdziwą krucyatę w Lombardyi, w Weneckiem i w całych Włoszech. Przedewszystkiem zaznaczyć musimy konferencyę, którą odbył w Bolonii przed wyborowem i pełnem zapału gronem słuchaczy.

Dziennik katolicki *Unione* z daty 24go listopada 1892, oddawszy wielkie pochwały mówcy, streszcza w ten sposób drugą część konferencyi: ,,Mówca wykazał, jak szczęśliwe natchnienie miał ks. Bosko, obierając za pole działania Amerykę Południową raczej, niż każdy inny kraj; najpierw dlatego, że tam istnieją jeszcze dzikie plemiona, ale bardziej dlatego, że kraje te stały się niejako drugą ojczyzną dla biednych Włochów, których głód i nędza wygnały z ojczyzny. Tym sposobem misye Salezyańskie mają podwójny cel, ale środki są aż nadto niewystarczające. Opowiedział jak w Buenos Ayres na pół miliona ludności, liczy się 200,000 Włochów, którzy jednak mieli tak złą opinię, że jedna z dzielnic, które zamieszkują, otrzymała nazwę *Bocca del Diavolo* — Paszcza dyabelska. Obecnie zaś wskutek prac apostolskich Salezyanów, dzielnica ta tak się na lepsze zmieniła, że doznaje ogólnego szacunku.

,,Mowił dalej o barbarzyństwach cywilizacyi, która wyparła się Chrystusa; przypomniał o okrutnej walce prowadzonej przeciw biednym dzikom, których tępi się strzałami, jakby zwierzynę i porównał ją z cywilizacyą chrześcijańską, która wszystkich ludzi, jak braci, obejmuje w swe ramiona. Szczególniej poruszył swych licznych słuchaczy, opowiadając sceny, których sam był świadkiem. Widzieliśmy wiele osób, które łez powstrzymać nie mogły, słuchając opisu wypadków tak szczególnych i podziwienia godnych a opowiedzianych z największą prostotą.''

Zawsze niezmordowany, ks. Lasagna, przebiegał Riwierę i Liguryę, aż do Monako, a jego konferencye, których liczba doszła do 25, były prawdziwym tryumfem misyonarza katolickiego, który, pracując nad zbawieniem dusz, nie zaniedbał niczego, aby podnieść w oczach społeczeństwa te biedne istoty, które ciemnota i nędza poniżyły do rzędu bydląt.

Rozdział XXXIV.

19. lutego 1893. — Zaszczytne zlecenie. — Ks. Lasagna udaje się do Rzymu. — Audyencye u Ojca św. i u kardynałów. — Projekty na korzyść włoskich emigrantów. — Sprawdzenie się przepowiedni ks. Bosko. — Pełność kapłaństwa. — Pobyt w zakątku rodzinnym.

W ostatnich dniach roku 1892 całe Wieczne Miasto było w poruszeniu. Spieszono się z przygotowaniami do pięknych uroczystości, które miały uświetnić jubileusz biskupi Leona XIII. Wszyscy katolicy, przejęci świętym zapałem, zmierzali ku Rzymowi z najdalszych krain, aby się ukorzyć u stóp wspólnego Ojca wszystkich wiernych, zapewniając Go o swej zupełnej uległości, oraz złożyć Mu co mieli najkosztowniejszego.

Przełożony misyi salezyańskich Uraguaju i Brazylii nie mógł opuścić takiej sposobności oświadczenia raz jeszcze Następcy Jezusa Chr. swej najgłębszej czci i gorącej miłości; tem bardziej że, zaraz po wylądowaniu we Włoszech, otrzymał był od Stowarzyszenia katolickiego w Montewideo zlecenie, aby był ich przedstawicielem u Ojca św. i zapewnił Go, że wszyscy członkowie tego stowarzyszenia, aczkolwiek oddaleni, kochają go najgorętszą miłością, słuchają Go jak synowie najuleglejsi i wyrażają

mu serdeczne pragnienie wolności i tryumfu Kościoła. Ks. Lasagna tem bardziej pragnął przedstawić się Ojcu wiernych, że chciał Mu zdać sprawę z tego, co on i jego współbracia zdziałali dla rozszerzenia królestwa Bożego, i pocieszyć ojcowskie Jego serce obrazem owoców pracy swojej, które synowie ks. Bosko z pomocą Bożą osiągnęli w Uraguaju i Brazylii.

Leon XIII dobrze świadomy zasług naszego misyonarza, przyjął go z niewymowną łaskawością; zachęcał go, by śmiało dalej postępował drogą, na którą wstąpił, i dał mu poznać, jakie nadzieje pokłada w jego gorliwej pracy nad zachowaniem wiary u emigrantów i nad oświeceniem licznych dzikich plemion, błądzących nad brzegami wielkich rzek amerykańskich.

Również serdeczne i zajmujące były audyencye udzielone mu przez Ich Eminencye Kardynałów Rampollę i Parocchiego. Nasz pokorny misyonarz, znalazłszy się w obecności tych książąt Kościoła, i widząc ich tak łaskawie dla siebie i swych misyi usposobionych, ośmielił się rozwinąć przed nimi z całym zapałem swoje szerokie plany, odnoszące się do dalszego kierunku jego misyi i opieki nad emigrantami włoskimi w Ameryce Południowej.

Właśnie podczas tej bytności ks. Lasagni w Rzymie i w ciągu wspaniałych uroczystości towarzyszących biskupiemu jubileuszowi, Leon XIII, chcąc dać nowy dowód swej łaskawości Zgromadzeniu Salezyańskiemu, oraz nagrodzić cenne usługi oddane przez naszego ukochanego współbrata sprawie religii i cywilizacyi, raczył podnieśc go na najwyższy szczebel hierarchii kościelnej, mianując go biskupem tytularnym Trypolisu.

Nominacya ta była niejako przepowiedziana przez ks. Bosko w grudniu 1886 w chwili, gdy ks. Lasagna opuszczał Oratoryum Turyńskie. Pożegnał się był właśnie z czcigodnym starcem po długiej i wzruszającej rozmowie, w której wyraził się ich wzajemny żal z powodu tego bolesnego rozstania, gdy dobry Ojciec przywołał go raz jeszcze, jak gdyby miał mu coś do powiedzenia i po paru słowach ostatnich, jakie od niego usłyszał, wręczył mu małe pudełeczko, na wierzchu którego napisał był własnoręcznie: *Dla ks. Lasagni.* Misyonarz, wzruszony bardzo tym dowodem czułości, sądząc, że pudełko zawiera jakiś mały upominek nabożny, nie zaglądał wcale do środka. Potem, z obawy zgubienia go w ciągu podróży, zamknął pudełeczko do kufra i nie myślał o niem więcej aż po przyjeździe do Ameryki. Tutaj, dopiero, przy rozpakowywaniu, otworzył je i równie był zdziwiony, jak zmieszany, znalazłszy w środku kosztowny łańcuch złoty i kartkę, na której wypisane były tylko te słowa: *dowód wdzięczności za łaskę otrzymaną przez przyczynę M. B. Wspomożenia;* z drugiej: *Dla drugiego Biskupa Salezyańskiego.* P. Bóg pozwolił, aby ks. Bosko przeczuł przyszłe losy swego ukochanego syna i jego wyniesienie na godność biskupią: stąd przeznaczył jemu ten łańcuch, dar szlachetnego dobrodzieja, ofiarowany dla tego kapłana Salezyanina, który po ks. Biskupie Cagliero miał dostąpić tegoż samego zaszczytu.

Ks. Lasagna liczył wtedy lat 43. Nie chcąc zatrzymywać go zbyt długo zdala od jego obowiązków, musiano przyśpieszyć ceremonię konsekracyi, która odbyła się 12go marca 1893 w pięknym kościele Serca Jezusowego na Castro Pretorio w Rzymie.

Jego Eminencya Kardynał Parocchi, Wikaryusz Jego Świątobliwości i Protektor Zgromadzenia Salezyańskiego, był konsekratorem. Asystowali mu Mons. Grossi Biskup tytularny Trypolisu, późniejszy Arcybiskup Nikopolii, Sekretarz Kongregacyi Odpustów i Relikwii, oraz Mons. Cagliero, pierwszy biskup salezyański. Między uczestnikami uroczystości, którzy przepełniali kościół, zauważono w chórze deputacyę przybyłą z Montemagno, rodzinnego miejsca nowego biskupa, a także grono pielgrzymów przybyłych z Uraguaju, Paraguaju i Brazylii do Rzymu, aby uczestniczyć w Jubileuszu biskupim Ojca sw. Obecnym był również Ks. Rua, główny Przełożony Zgromadzenia Salezyańskiego. Po skończonej ceremonii wzruszającem było spotkanie nowego biskupa ze swym ukochanym Przełożonym, z którym się czule uściskali.

Tegoż dnia Leon XIII raczył przypuścić do siebie ks. Lasagnę w towarzystwie Mons. Cagliero, Ks. Ruy i dwunastu innych Salezyanów. Ucieszyły Go wielce pocieszające wiadomości o rozwoju Zgromadzenia Salezyańskiego, a szczególniej o szybkich postępach misyi w Ameryce Południowej. Zaracając się do nowego biskupa, powiedział mu, że wiele spodziewa się po jego działalności w Uraguaju, Paraguaju i Brazylii: ,, Jesteś młody i pełen życia; dlatego wybraliśmy cię na godność biskupią. Potrzebna jest w tamtych stronach bardzo energiczna działalność, a mam nadzieję, że oprócz tego dobrego, jakie sam zdziałasz, przykład twej gorliwości zachęci także innych Salezyanów do skutecznej pracy

w tej cząstce winnicy Pańskiej. " Ojciec Święty okazał wreszcie, że przedewszystkiem leżał mu na sercu rozwój misyi, jaką ks. Lasagni powierzał dla tego nie dał mu żadnego tytułu i nie wyznaczył biskupiej stolicy.

Ten piękny dzień zakończony został świetnym i wesołym wieczorkiem muzykalno — literackim, którym uczcić chciano nowego biskupa, ks. Ruę, ale przedewszystkiem Ojca św. tak gorąco ukochanego od wszystkich synów ks. Bosko.

Był to początek różnych uroczystości, których bliżej opisywać nie będziemy, aby ich nie powtarzać. Nie możemy jednak zamilczeć o uroczystem przyjęciu, jakie zgotowano ks. Lasagni w Oratoryum, w którem spędził część swej młodości i gdzie Bóg powołał go na drogę, na który miał go doprowadzić do najwyższej godności biskupiej. Z Borgo San Martino pisał wtedy do mnie, że wsród wszystkich komplementów, jakich się nasłuchał, najmilszem mu było odczytanie prostej kartki szkolnego rejestru, na której znalazł obok nazwiska swego profesora i swych kolegów, rezultat swego egzaminu dojrzałości.

Nie możemy także pominąć przyjęcia, jakie go spotkało w rodzinnem Montemagno. ,, Jakże opisać " — mówi naoczny świadek — ,, zapał z jakim ludność Montemagno witała biskupa Lasagnę, swego współobywatela ! Nie widziano nigdy nie podobnego; był to prawdziwy szał. Rówieśnicy jego przypominali bystrość jego umysłu; wspominali także jak w r. 1870, gdy wszyscy stawali do popisu wojskowego, co wypadło w piątek, młody ks. Lasagna, chcąc ustrzedz swych kolegów od przekroczenia przykazania kościelnego, zaprosił ich wszystkich na postny objadek, który był poprzednio umyślnie zamówił. Teraz z radości, że swego starego pryjaciela witają biskupem, aby mu okazać szacunek i życzliwość, wyjechali naprzeciw niego dziesięcioma powozami aż do stacyi Altavilla, gdzie jego Przewielebność wysiadł z pociągu, w towarzystwie dwóch kanoników Kapituły Casal-Monferrato. Popisowi z r. 1870, powitawszy ks. biskupa, wręczyli mu piękny mszał i prosili o zaszczyt eskortowania go do Montemagno.

Przy wjeździe do miasteczka powitał Go Syndyk tegoż, kawaler Rinetti, winszując mu w imieniu obywateli wysokiego dostojeństwa, na jakie Go wyniosły Jego zasługi. Jego Przewielebność, nie mogąc mówić ze wzruszenia, uściskał tylko z głębi serca przedstawiciela swego rodzinnego miasta, który był także Jego opiekunem i drugim ojcem, i oświadczył, że w jego osobie dziękuje wszystkim swym drogim współobywatelom.

Po kilku innych przemówieniach, orszak poprzedzony przez muzykę i dzieci szkolne wszedł w ulice miasta, przystrojone jak na wielkie uroczystości, postępując wsród tłumów, które z trudnością utrzymać zdołano w porządku, a które zaścielały drogę kwiatami i gałązkami. Zatrzymano się przed małym domkiem przystrojonym we festony i girlandy: był to dom rodzinny ks. biskupa. Najstarsza w okolicy niewiasta, która właśnie tutaj mieszkała, oraz najmłodsze dziecko, ofiarowały biskupowi dwa wspaniałe bukiety. Jego Przewielebność pobłogosławił ten dom, który mu przypominał jego najmłodsze lata i zbyt wcześnie utraconych rodziców, ciesząc się że z tego miejsca może pierwszy raz udzielić błogosławieństwa posterskiego całej tej drogiej mu mieścinie.

Procesya posunęła się dalej, aż do parafialnego kościoła, u wstępu do którego, proboszcz ks. F. Camera złożył biskupowi w imieniu wszystkich parafian kosztowne upominki, a między nimi drogocenną infułę. Przybrany w strój pontyfikalny, ks. Lasagna wstąpił na ambonę i podziękował swym ziomkom, których pamięć przechowuje nawet w najodleglejszych krajach Ameryki. Po odśpiewaniu u stóp ołtarza *Te Deum*, udzielił błogosławieństwa N. Sakramentem.

Nazajutrz, w Święto Zwiastowania N. P., odprawił uroczystą sumę i nieszpory, a po kazaniu udzielił obecnym błogosławieństwa Papieskiego, na co był sobie upoważnienie u Ojca św. uprosił. Wieczorem nastąpiła illuminacya okolicznych wzgórz i ognie sztuczne na głównym miejskim placu. Biskup oklaskiwany przez wszystkich raz jeszcze wieczorem przemówił do swych ukochanych ziomków, dziękując im za te wspaniałe i serdeczne owacye.

Zgromadzenie Salezyańskie reprezentował na tych pięknych uroczystościach członek Kapituły ks. Lazero, oraz kilku dyrektorów. Biskup z Casale, sercem tylko mógł być obecny i chcąc się przyłączyć do radości mieszkańców Montemagno, wysłał czuły telegram. Do powinszowania biskupa przyłączyło się błogosławieństwo nadesłane przez Ojca św. czegóż więc brakowało?

Nadeszła wreszcie bolesna chwila rozstania. Biskup nie mógł ukryć smutku, a poczciwi mieszkańcy byliby chcieli go zatrzymać, bo przeczuwali, że już go więcej nie ujrzą.

Rozdział XXXV.

Bolesny wypadek. — Pośpiech. — Dobroć Arcybiskupa Turyńskiego. — Przyjęcie w Oratoryum na Valdocco. — Interwiew. — Perpetuum mobile. — Komiwojażer Ojca św. — Brak środków. — Wielkanoc. — Powrót do Montevideo. — Uroczystości w Villa Colon. — Pociechy ks. Lasagni. — Jego herb i godło. — Zawsze naprzód!

Nim powrócił do Turynu, ks. Lasagna chciał się zatrzymać krótki czas w Medyolanie, gdzie był z upragnieniem oczekiwany przez kilka zacnych rodzin związanych z nim stosunkami przyjaźni i wdzięczności. Wyglądała go także siostrzenica zawziętego obrońcy Kościoła Margottiego, który był niegdyś jej przewodnikiem i nakłonił ją do poświęcenia się Chrystusowi w zakonie. Ta poczciwa zakonnica wzdychała za chwilą, gdy będzie mogła ucałować pierścień nowego biskupa i otrzymać pierwsze Jego błogosławieństwo. Ale inną była wola Boża!

Gdy ks. biskup przybył o naznaczonej godzinie do furty klasztornej, powitała go Przełożona niema i łzami zalana i z trudnością oznajmiła mu, że ta święta zakonnica właśnie przed chwilą oddała ducha Bogu, z wielkim bólem całego zgromadzenia. Przejęty zrazu tą niespodziewaną wieścią, biskup opanował się niebawem i znalazł w swem sercu słowa pociechy dla biednych sióstr, a pomodliwszy się przy zwłokach tej, którą spodziewał się zastać żywą, głęboko wzruszony, opuścił klasztor.

Ale czas naglił: okręt Vittoria, którym nasz biskup zamierzał powrócić do Ameryki, opuszczał Genuę 8go kwietnia, a był już koniec marca. To też pośpiesznie odbył najkonieczniejsze odwiedziny i przybył do Turynu, gdzie go niecierpliwie oczekiwano, w Wielki Wtorek, 28go marca. I z jakiemże zdziwieniem ujrzał na dworcu kolejowym Mons. Dawida hr. Ricardiego, Arcybiskupa Turynu! Ten czcigodny następca św. Maksyma chciał pierwszy powitać swego nowomianowanego współbrata, i z tą delikatną dobrocią, którą podbijał wszystkie serca, odwiózł go w swym własnym powozie do Oratoryum na Valdocco.

Ks. Lasagna wstąpił do swego ukochanego domu przy dźwiękach muzyki, witany przez tłumy dziatek, które klęcząc oczekiwały jego ojcowskiego błogosławieństwa. Mając ciągle przy boku ks. arcybiskupa, przeszedł jeden i drugi dziedziniec i stanął wobec ks. Ruy i innych przełożonych. Po pierwszem serdecznem powitaniu obaj dostojnicy zasiedli na estradzie, a jedno z dzieci powitało w imieniu towarzyszy drugiego biskupa salezyańskiego. Ks. Lasagna podziękował krótko lecz serdecznie; przedewszystkim dziękował arcybiskupowi za jego nieograniczoną dobroć dla pokornych synów ks. Bosko.

Tegoż dnia musiał opuścić dom turyński, aby odwiedzić najbliższe nowicyaty i dopiero w wieczór Wielko-Sobotni bracia Salezyanie i ich uczniowie mogli uczcić nowego biskupa, urządzając literackie posiedzenie, które udało się bez zarzutu i którego prace, wydrukowane stanowią miłą pamiątkę.

Aby dać pojęcie o niezmordowanej czynności biskupa Lasagni, chcemy przytoczyć tu artykuł jednego z dziennikarzy turyńskich: ,, Od kilku dni — pisze on — powziąłem zamiar proszenia nowego biskupa salezyańskiego ks. Lasagnę o interwiew. Spostrzegłem go był na stacyi we W. Srodę, gdy powracał z San Benigno Canavese i tegoż samego wieczora udałem się do Oratoryum ks. Bosko. Ale biskup odjechał już był do Fossano, gdzie na zaproszenie biskupa tamtejszego, swego ziomka, miał odprawić ceremonię święcenia Olejów. Przyszedłem więc nazajutrz wieczorem: ks. Lasagna wprawdzie powrócił, ale natychmiast wyjeżdżał do Foglizzo, gdzie go oczekiwali młodzi klerycy Salezyańscy. Nareszcie w Wielką Sobotę w południe stanąłem u drzwi Oratoryum z postanowieniem, że nie odejdę, dopóki biskupa nie zobaczę.

— Ks. biskup Lasagna? — pytam.

— Jego Przewielebności niema.

— Jakto? jeszcze nie powrócił?

— Owszem, ale od rana jest na mieście, zajęty przygotowaniami do podróży. Za chwilę wraca, ale... (tu odźwierny uśmiechnął się złośliwie) — tylko na objad.

— A po objedzie?

— Będzie posiedzenie literackie na Jego cześć.

— A później?

— Będzie błogosławieństwo N. Sakramentem, kolacya, potem ks. biskup zajmie się pakowaniem. Jutro rano ma słuchać spowiedzi młodzieży; o 10-tej odprawi summę pontyfikalną, o 12-tej bierze udział w pożegnalnym objedzie misyonarzy, o 3-ciej będzie miał konferencyą, a o 5-tej wyjeżdża do Brazylii.

— A więc, to jest prawdziwe *perpetuum mobile;* a jednak chciałbym mówić z ks. biskupem, choć chwilkę. Tak, zobaczę go.

,,Wszedłem tedy do Oratorym, z postanowie-

niem czekania chócby do wieczora i choćby moi koledzy mieli mnie opłakiwać jako umarłego. Dziedziniec Zakładu wyglądał jak obozowisko: tutaj porozwieszane były festony i dekoracye, tam sztuki płótna, sukna, leżały jeszcze na ziemi. Dalej drabiny, szyldy, sznury, druty, trybuny które wznoszono, maszty, które ustawiano, obrazy, które się zabierano wieszać, a wsród tego zamętu pięciuset uczniów, i tyluż czeladników, którzy mówią wszyscy razem, krzyczą, bawią się, patrzą, podziwiają. Zdala dochódziły odgłosy muzyki, którą próbowano.

,,Nagle, podnosi się krzyk głośniejszy, potem długotrwałe oklaski: wchodzi koń, prowadzony przez wystrojonego na tę okoliczność stangreta. Nareszcie ukazuje się sam biskup Lasagna: zaledwie wysiadł z powozu, otacza go setka dzieci, które czepiają się jego sutanny, rzucają mu się na szyję, chwytają go za ręce, depcą mu po nogach, jak gdyby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie.

,,Widząc to, sądziłem, że mogę zrobić jak drudzy: wysunąłem się naprzód i stanąłem przed biskupem, który trochę zdziwiony, że widzi przed sobą obcego, nie należącego do dzieci ks. Bosko, powitał mnie i zapytał czem może mi służyć?

— Ach, tak. Wasza Przewielebność może mi wyświadczyć wielką przyjemność. Jestem...

,,Biskup uśmiechnął się: Witam cię, mój Panie, rzekł, podając mi rękę. A poprosiwszy o pozwolenie cisnących się coraz liczniej do niego chłopców, którzy krzywo na mnie patrzyli, zaprowadził mnie do swego pokoju, gdzie usiedliśmy wsród pak, kufrów i pudełek przygotowanych do Ameryki.

— A więc Wasza Biskupia Mość niebawem odjeżdża?

— Tak, — i zabieram 35 misyonarzy, między któremi kilka sióstr. Rozproszymy się po trochu wszędzie, w Argentynie, w Patagonii, w Ziemi Ognistej, w Uraguaju, w Brazylii. Jak Pan możesz obliczyć, będzie nas tylko po siedm osób, w każdym z tych krajów: to za mało; ale cóż robić? Koszta są ogromne; całe rano biegałem, szukając zasiłków. Żądają przeszło 2000 franków na osobę; ale mam nadzieję, że w czerwcu nastąpi druga wysyłka misyonarzy,

— I Wasza Biskupia Mość udaje się do Brazylii?

— Nie; najpierw odwiedzę domy Salezyańskie w Montewideo; potem skieruję się do Brazylii.

— A gdzież będzie Wasza rezydencya?

— Wszędzie i nigdzie; — odpowiedział śmiejąc się biskup. Ojciec Św. zrobił ze mnie prawdziwego komiwojażera. Przedewszystkiem zlecona jest Salezyanom opieka nad emigrantami włoskimi w stanach skonfederowanych Brazylii. Potem mamy nieść cywilizacyę i Ewangielię dzikim; i dla tego celu Papież polecił mi szukać poparcia u różnych rządów. Dalej trzeba zagrzewać u ludów tych różnych krajów miłość dla Kościoła, i do czuwania nad całą tą pracą zleconą Salezyanom, Jego Świątobliwość mianował mnie biskupem, mimo mej niegodności, abym z większą powagą mógł przemawiać do Gubernatorów.

— A dzisiejsze rządy czy nie są niechętne dla Kościoła?

— O! nie; wprawdzie nie dopomagają nam, ale też w niczem się nam nie sprzeciwiają. Zostawiają nam zupełną swobodę działania, a nawet przyzywają naszej pomocy przeciw protestantom angielskim.

— Tak?!

— Tak jest. Trzeba panu wiedzieć, że na prawym brzegu Paraguaju osiedlili się protestanci angielscy, którzy utrzymują tu ważne ajentury handlowe, a zarazem pracują usilnie nad rozszerzeniem swej herezyi i..... innego złego. Otóż rząd tamtejszy nie życzy sobie, aby ten kraj stał się prowincyą angielską; dlatego, żeby przeciwdziałać tym zgubnym wpływom, założył w porozumieniu ze Stolicą św. domy Salezyańskie w tych krajach.

— Zatem roboty Ojcom nie brak?

— O nie; nie brak też chętnych robotników, brak nam tylko środków; gdybyśmy nie musieli walczyć codziennie z niedostatkiem, moglibyśmy znacznie więcej zdziadać. Oto np. teraz zmuszony jestem pozostawić w Oratoryum Turyńskiem sześciu braci, którzy już od roku błagają mnie, żeby ich zabrać do Ameryki. Bóg widzi, że tego całem sercem pragnę, ale moje środki nie pozwalają mi na to. Złożmy jednak całą ufność w Matce Bożej, która wie dobrze, że na Jej chwałę pracujemy.

,,To mówiąc, Jego Przewielebność powstał i odprowadził mnie do drzwi. Co do mnie byłbym chętnie zrzucił z siebie strój dziennikarza a przyoblókł się w misyonarską sutannę, aby pomnożyć liczbę towarzyszy biskupa Lasagni.''

Uroczystość Wielkanocna przypadała w tym roku 2go kwietnia. Dnia tego, w świątyni M. B. Wspomożenia, wspaniale przystrojonej, ogromny tłum ludu uczestniczył w uroczystej celebrze drugiego biskupa Salezyańskiego. Po południu

po solennych nieszporach ks. biskup Lasagna wszedł na ambonę i w wymownej a bardzo wzruszającej konferencyi przedstawił obraz prac już dokonanych przez misyonarzy salezyańskich, oraz dużo większy obszar dobrych dzieł, które pozostały do spełnienia. W ciągu tej przemowy, ukazał się w chórze ks. arcybiskup Turynu, który mimo nabożeństwa celebrowanego w kościele katedralnym, chciał osobiście pożegnać swego kolegę Misyonarza, i wspólnie z nim błagać M. B. Wspomożenia o szczęśliwą dla niego podróż i obfite owoce jego ciężkich trudów misyjnych. Tegoż wieczora biskup Lasagna i jego towarzysze udali się do Genui i żegnani życzeniami wszystkich przyjaciół, wsiedli na wielki statek *Vittoria*, który natychmiast puścił się na morze.

Po dwudziestu jednym dniu spokojnej żeglugi podróżni przybili do Montevideo. Biskup, patrząc z pomostu okrętowego na kopuły i wieże tego miasta, które stało się dla niego drugą ojczyzną i któremu poświęcił był już siedmnaście lat swego życia, myślał z pociechą o licznych współbraciach, wychowańcach, przyjaciołach i dobrodziejach, którzy go tu oczekiwali, i cieszył się naprzód radością ich wszystkich, gdy go ujrzą znowu posród siebie, przyobleczonego w godność biskupią. Bo też ten lud o sercu szlachetnem, duszy pobożnej, której poetyczny zapał wypowiadał się w jego obrazowej mowie, oczekiwał z gorączkową niecierpliwością jego powrotu i chwili, gdy będzie mógł okazać mu swe głębokie przywiązanie.

Jakóż, zaledwie *Vittoria* zarzuciła kotwicę, już dyrektorowie Oratoryów Salezyańskich Uraguaju i Brazylii, oraz deputacye stowarzyszeń *Byłych uczniów* i *Młodzieży katolickiej* otoczyły biskupa. Port cały przepełniony był tłumem osób wszystkich stanów i zawodów, który tłoczył się jak fale morskie, pchając się i odpychając, aby tylko zbliżyć się do biskupa, ucałować jego pierścień, złożyć mu hołd; wiwaty, okrzyki radości, przeciągłe oklaski odzywały się zewsząd. Wsród tych wzruszających objawów odruchowego zapału, zaledwie mógł biskup Lasagna z wielkim trudem dostać się nakoniec do głównego Oratoryum w Montewideo.

Przyjęcie, jakie mu zgotowano w Villa Colon było jeszcze wspanialsze, prawdziwie tryumfalne. Na stacyi kolejowej oczekiwał biskup Isaa, sufragan z Montewideo w zastępstwie arcybiskupa Solera, zajętego wówczas objazdem dyecezyi; wszystkie władze duchowne i świeckie, dwie kompanie wojska i wielki napływ Pomocników Salezyańskich. Wszyscy uczniowie z Oratoryów zgromadzili się także, każde grono ze swoją orkiestrą. Na całej przestrzeni drogi widziano bramy tryumfalne wspaniale ozdobione, bogate draperye, chorągwie i sztandary o świetnych barwach. Orszak z trudnością zdołał się docisnąć do kościoła św. Róży, gdzie odśpiewano dziękczynne *Te Deum*. Cały ten bardzo uroczysty obrząd religijny, oraz uczta i posiedzenie muzyczno-literackie, które potem nastąpiły, miały tak piękny przebieg, że, obecny na nich ks. Costamagna oświadczył, że nigdy w Rzeczypospolitej Uraguajskej nie widziano podobnych obchodów.

Podziwiano przedewszystkiem wielką prostotę obejścia i uprzejmą dobroć, którą biskup zachował wsród tylu objawów czci, wdzięczności i miłości, a które to cnoty zawsze w nim wszyscy tak bardzo cenili. „Godność biskupia" — pisał ktoś o nim w tym czasie — „dadała powagi jego jeszcze młodocianej postaci, ale człowiek wewnętrzny pozostał tem czem był, z wielkiem sercem, pałającem wzniosłemi żądzami. To też my, jego przyjaciele, słusznie szczyciliśmy się tem nowem dostojeństwem, które go wynosiło nad tłum, w niczem nie zmieniając jego poglądów i uczuć."

Nowy dowód na to znajdujemy w liście pisanym do nas przez ówczesnego dyrektora Oratoryum w Villa Colon: „Po kilku dniach spędzonych wsród najznakomitszych i najszanowniejszych obywateli tego miasta, którzy się prześcigali w oddawaniu mu pochwał i honorów, biskup Lasagna pomnąc na słowa Apostoła: „*Graecis et Barbaris debitor sum*" (*Jestem sługą wszystkich*), udał się ze mną, — pisze on — do dzielnicy zamieszkanej przez ubogich robotników, a potem do osady Indyan. Ci biedacy, pogrążeni w nędzy, nie mieli odwagi brać udziału w świeżo odbytych uroczystościach; zamknięci w swych nędznych chatach, z daleka tylko odważyli się rzucić okiem na swego biskupa.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1906.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI.